H. Beam Piper

Oomphel na niebie

(Oomphel in the Sky)

Analog, November 1960
Ilustracje: Bernklau
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.



Ponieważ logika wyprowadza rozumowanie na podstawie założonych aksjomatów, nigdy nie zmieniała, ani nie będzie zmieniać aksjomatu. Zaś każda religia jest systemem aksjomatów… W jaki więc sposób człowiek mógłby walczyć z rozpowszechnionym wśród tubylców przesądem, przy pomocy logiki? Albo w jakiś inny sposób…?

Miles Gilbert obserwował prześlizgującą się pod nim w dole krainę, pokrytą dywanem zaokrąglonych wierzchołków drzew, poznaczonych czerwonymi i pomarańczowymi kleksami, splątanych oświetlonych i ocienionych miejsc, rozkładających się na naturalnej żółci roślinności Kwannon. Samochód powietrzny rozpoczął powolny skręt w lewo i przed nimi, jakby tuż na wyciągnięcie ręki, pojawiła się Alfa Gettlera, monstrualna plama czerwonego blasku, o obserwowalnej średnicy dwóch stóp, nieco spłaszczona od dołu, przez linię zachodniego horyzontu. W ciągu kolejnych kilku godzin miała całkowicie zajść, ale do tego czasu Beta, podstawowa gwiazda układu tej planety, klasy G, znajdzie się w swoim punkcie najgorętszego południa. Spojrzał na zegarek. Wyświetlała się na nim godzina 10:05, ale to był Galaktyczny Czas Standardowy, który nie miał żadnego odniesienia, do jakichkolwiek zjawisk, mogących pojawić się na miejscowym niebie. Oznaczało to jednak, że pozostało już tylko dwie godziny bez pięciu minut, do czasu transmisji.

Pstryknął przełącznikiem, włączając znajdujący się przed nim ekran komunikatora. Pojawił się na nim Harry Walsh, redaktor wiadomości, spoglądający na Milesa ze swojego biura w Bluelake, niemal w pół drogi na drugą stronę kontynentu. Chciał się dowiedzieć, jak idą sprawy.

– Już prawie skończyłem. Mam zamiar zajrzeć jeszcze do paru wiosek tubylców, a potem polecę na plantację Sandersa, żeby zobaczyć się z Gonzalesem. Mam nadzieję, że wydobędę z niego, jeszcze przed transmisją, jakieś osobiste oświadczenie i mapę ostatecznego rozwoju sytuacji. Zakładam, że Maith nadal zgadza się na opublikowanie tej historii, na tysiąc dwieście procent?

– Pewnie. On zawsze był skłonny do współpracy. Armia potrzebuje dobrej prasy. To rząd chciał na tej sprawie usiąść jak kwoka, ale teraz dali sobie z tym spokój. Mamy całą tę historię, wszędzie, w mieście tubylców i gdzie indziej.

– Jak teraz wygląda sytuacja w miasteczku?

– Och, to wszystko ciągle się dalej toczy. Trochę tumultów, głównie tylko niepokoje. Wiele zgromadzeń na ulicach, które mogłyby rozwinąć się w jakieś gwałtowne zamieszki, gdyby policja ich na czas nie opanowała. Parę strzelanin, trochę gazu usypiającego i mnóstwo aresztowanych. Nic, czym trzeba by się przejmować –– a przynajmniej nie w najbliższych chwilach.

Wyglądało to więc, mniej więcej tak, jak myślał.

– Być może nie zaszkodziłoby trochę kłopotów w Bluelake – zastanawiał się. – Tego co się dzieje tutaj, na peryferiach, w kraju plantacji, ta czereda w Pałacu Rządowym w ogóle nie zauważa, i nic ją to nie obchodzi. No dobrze, zadzwonię do ciebie od Sandersa.

Wyłączył komunikator. Siedzący fotelu na przedzie, pilot tubylec, powiedział.

– Szefie, jakieś kontragrawy przed nami, w górze. – Zabrzmiało to, jakby dwa głosy mówiły do niego unisono, co w zasadzie było faktem. – Rzucę na to okiem.

Ręka pilota, długa i cienka, podobna do wiewiórczej łapki, sięgnęła do góry, ściągając do siebie pięćdziesięciokrotnie powiększającą lornetkę, na wychylnym ramieniu. Miles spojrzał w międzyczasie na mapę ekranową i tuż przed punktem świetlnym oznaczającym pozycję lecącego samochodu, zobaczył wioskę tubylców. Odczytał na głos miejscową nazwę wioski i dodał:

– Wyląduj tam, Heshto. Rozejrzę się trochę, co tam się dzieje.

– W porządku, szefie – powiedział ciągle wyglądający przez szkła tubylec. Potem odwrócił się do niego.

Jego skóra była niebiesko-szara i wyglądała jak gąbczasta guma. Był humanoidem, a przynajmniej w takim zakresie, że zaliczał się do chodzących w wyprostowanej pozycji dwunogów, z dwoma rękoma i znajdującą się na ramionach głową, oraz tułowiem, mieszczącym, obok innych dziwnych rzeczy, cztery płuca. Twarz Kwanna nawet mgliście nie przypominała ludzkiej. Miał co prawda dwoje oczu na przedzie głowy, na tyle blisko położonych, aby uzyskać efekt stereoskopowego widzenia, ale to była wspólna cecha wszystkich myślących istot żywych, żyjących

gdziekolwiek. Usta przeznaczone były wyłącznie do jedzenia, oddychał przez oddzielne wloty i wyloty, po jednej parze, z obu stron szyi. Mówił korzystając z tych wylotów, natomiast we wlotach znajdowały się również organy węchowe i słuchowe. Samochód był klimatyzowany, co było dużą ulgą dla obu stron. Przegrzewający się Kwann wydzielał przez skórę i otaczał się chmurą cuchnących wyziewów, przywodzących na myśl laboratorium chemii organicznej. Jednak w podobnej sytuacji, Kwannowie także nie podeszliby do niego nawet na krok bliżej, niż byli w stanie wytrzymać to, że on był rozgrzany i spocony, co prawdę mówiąc, ostatnio, przydarzało mu się niemal przez większość czasu.

– Kręci się tu do diabła i ciut-ciut, kawalerii powietrznej – powiedział Heshto. – Chcą być pewni, że nikt im nie ucieknie. Na paru setkach stóp wisi również wóz bojowy. Kolejny tuż na wysokości wierzchołków drzew.

Podniósł się i przeszedł na fotel obok pilota, ściągając lornetkę o ogniskowej dostosowanej do jego własnych oczu. Przy pomocy szkieł, bez trudu dostrzegł kawalerię powietrzną –– jajokształtne obiekty, o wielkości wystarczającej akurat, aby zmieścić siedzącego w środku człowieka, z widocznymi pod spodem dyszami silników odrzutowych i generatorami pola kontragrawitacyjnego, oraz najeżone od przodu lufami karabinów maszynowych. Kilka z nich wystrzeliło w górę, aby mu się przyjrzeć, a następnie stopniowo ześlizgnęło się z powrotem na dół, po rozpoznaniu samochodu powietrznego Kwannon Planetwide News Service.

Wioska była na tyle typowa, że mogłaby stanowić wręcz ilustrację dla podręcznika socjografii. Otaczał ją pas pól o szerokości paru setek jardów. Tubylcy mieszkali w pokrytych kopulastymi strzechami chatach, o ścianach ze splecionych gałęzi i liści, wzmocnionych warstwą błota. Domy stały w obrębie palisady z zaostrzonych kijów, obok której, z ciężkich drewnianych kłód, zbudowane zostały magazyny, których płaskie, wysokie dachy, tworzyły wygodne platformy dla broniących wioski łuczników. Pośrodku znajdował się pusty owalny plac, przeznaczony na miejsce zebrań. Na jednym z jego końców stała duża chata, khamdoo, sanktuarium dorosłych mężczyzn, do którego dzieci i kobiety nie miały wstępu. Przed nią właśnie, zebrał się niewielki tłumek, złożony z piętnastu, dwudziestu Terran, żołnierzy kawalerii powietrznej, paru żołnierzy z Drugiego Pułku Piechoty Tubylczej Kwannon, terrańskiego podporucznika i kilku tubylców. Reszta z mieszkańców wioski, czyli jakieś dwie setki, obojga płci i w różnym wieku, zebrała się na zacienionej części placu zebrań, większość spoglądała z niepokojem na dwa wozy bojowe, pokrywające ich swoim polem ostrzału.

Miles podniósł się z fotela, zaraz jak tylko z szarpnięciem wyłączyły się kontragrawitatory samochodu, i jego ciężar spoczął na sprężynach płóz lądowniczych. Kiedy otworzył drzwiczki, uderzył go powiew gorącego, jakby prosto z pieca, powietrza. Szybko wyskoczył na zewnątrz i zamknął je za sobą. Podporucznik wyszedł mu na spotkanie, wyciągając do niego rękę.

– Dzień dobry, panie Gilbert. Jesteśmy panu winni szczere podziękowania, za ostrzeżenie nas. To byłoby prawdziwe bagno, gdybyśmy nie wychwycili tego na czas.

Nawet nie próbował wykonywać jakichś gestów fałszywej skromności i zaprzeczać. Po prostu była to absolutnie szczera prawda.

– No cóż, panie poruczniku, widzę, że trzyma pan tu sprawy mocno w garści. – Przebiegł wzrokiem po zebranych po jednej stronie owalnego placu tubylcach, a następnie po wydzielonej grupie, stojącej przed wejściem do khamdoo. Patriarchalny wódz wioski w luźnej, porozcinanej koszuli, shoonoo, mający na sobie mnóstwo amuletów, i poza tym nic więcej, czterech czy pięciu starszych wioski. – Zakładam, że wieści o tym wyrojeniu, nie dotarły tak daleko?

– Nie, ta czereda nadal nie wie co się wokół nich dzieje, a ja nie potrafiłem wymyślić niczego, co mógłbym im powiedzieć, a co nie byłoby gorsze, niż nie udzielanie żadnych wyjaśnień.

Zauważył porozrzucane na polach motyki i szpadle, oraz cylindryczne, plastikowe pojemniki, kupowane przez tubylców od handlarzy, leżące w miejscach gdzie żołnierze zaskoczyli pracujące kobiety. A shoonoo nie miał na sobie płaszcza do tańca ognia, ani żadnych innych specjalnych oznak mocy. Gdyby doszły do niego jakieś wieści na temat wyrojenia, byłby ubrany, aby odprawiać w jego intencji obrzędy magiczne.

– Kiedy pan tu przyleciał, panie poruczniku?

– O zero-dziewięć czterdzieści. Właśnie wszedłem do środka i wysłałem meldunek o zajęciu wioski. W odpowiedzi otrzymałem informacje, że ja byłem ostatni, który wykonał to zadanie, tak że cała operacja jest już zakończona.

To była dobra robota. Poprosił porucznika o nazwisko i nazwę jednostki, a następnie zapisał je w swoim memofonie. Nie minęło jeszcze nawet pięć godzin, odkąd przekonał generała Maitha, w Bluelake, że zmasowana rejterada pracowników z plantacji Sandersa, była początkiem wyrojenia. Dowódcy niektórych oddziałów, nie byliby w stanie w tak krótkim czasie wysłać całej brygady w powietrze, i rozkazać jej wylądować bez wsparcia na celu. Mniej więcej coś podobnego powiedział młodemu oficerowi.

– Sposób, w jaki Armia dzisiaj zareagowała, daje ludziom mieszkającym w Kolonii powody, do znacznie bardziej spokojnego spoglądania w przyszłość.

– Nic takiego, dziękuję panu, panie Gilbert. – Armia na Kwannon była znacznie bardzie przyzwyczajona do połajanek i obmów, niż do pochwał. – W jaki sposób zorientował się pan tak szybko, co się dzieje?

To było chyba już po raz setny, co najmniej, kiedy dzisiaj słyszał to pytanie.

– No, cóż. Robotnicy Paula Sandersa, wszyscy pochodzili z sąsiednich wiosek. Gdyby tylko chcieli pójść sobie do domu i spędzić koniec świata razem ze swoimi rodzinami, wymykaliby się do nich w małych grupkach, już od paruset ostatnich godzin. Zamiast tego, wyruszyli wszyscy, całą bandą, biorąc za sobą tyle jedzenia, ile tylko byli w stanie unieść, i nic więcej. Przed swoim odejściem nie sprawiali przy tym, żadnych kłopotów.

Poza tym Sanders opowiadał mi, że wcześniej rozpalili ogniska na nieużytkach, przez parę dni lamentując i skandując wokół nich, zaniedbując zupełnie robotę. Oszczędzali siły na tę wędrówkę. Mówił również, że mieli między sobą shoonoo. Prawdopodobnie to on, to wszystko rozpoczął. Pewnie miał sen od Tych Którzy Odeszli.

– Mówi pan o kimś takim, jak ten gość, tutaj? – spytał porucznik. – Kim oni są, panie Gilbert, kapłanami?

Spojrzał szybko na oznaczenia na kołnierzyku porucznika. Żółta koniczynka oznaczała Siły Lądowe Trzeciej Floty. Rzymskie „IV", Czwartą Armię. Liczba 907 była numerem regimentu, a umieszczona pod nią litera „C", oznaczała kawalerię. Te oddziały były na Kwannon dopiero od niecałych dwóch tysięcy godzin, ale chyba ktoś powinien nieco lepiej wprowadzić ich w miejscowe sprawy.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, oni są czarownikami. Wszystko, co robią Kwannowie, związane jest z magią, a shoonoo są zawodowcami w tej dziedzinie. Kiedy tubylec właduje się jakieś poważne kłopoty, z którymi jego własna magia, taka domowej roboty, nie jest w stanie sobie poradzić, wtedy idzie do shoonoo. No i, oczywiście, shoonoo wykorzystuje swoją magię na potrzeby całej społeczności: magia deszczu, magia chroniąca wioskę i pola, oraz inne tego typu rzeczy.

Porucznik otarł sobie twarz, poszarganą chusteczką.

– Będą musieli przez chwilę, jakoś dawać sobie radę sami. Mamy rozkazy, aby zebrać wszystkich shoonoo razem i wysłać ich do Bluelake.

– Tak. – To nie był pomysł generała Maitha. To gubernator na to nalegał. – Mam nadzieję, że to nie przyniesie większych kłopotów, niż te, którym staramy się w ten sposób zapobiec.

Porucznik ciągle jeszcze ocierał twarz i spoglądał przez plac zgromadzeń na Alfę, gorejącą ponad chatami.

– Jak pan myśli, jak dużo gorzej może tutaj jeszcze się zrobić? – spytał.

– Chodzi panu o gorąco, czy o kłopoty z tubylcami?

– Myślałem o gorącu, ale powiedzmy że o obie te sprawy.

– No cóż, będzie jeszcze cieplej. Nie dużo goręcej, ale trochę, tak. Możemy również spodziewać się burz, w ciągu jakichś tysiąca dwustu, do tysiąca pięciuset godzin. Nikt nie ma żadnego pojęcia, jakie one mogą być silne. Ostatnie peryastron był dziewięćdziesiąt lat temu, a my jesteśmy tutaj dopiero od sześćdziesięciu paru. Wszystko co mamy ma ten temat, to tylko werbalne opisy przechowywane w pamięci przez tubylców, prawdopodobnie zniekształcone i przesadzone. Rok temu, tuż po tranzycie, mieliśmy całkiem paskudne burze, tym razem będą prawdopodobnie znacznie gorsze. Konwekcje termalne. Kiedy robi się ciemno, powietrze zaczyna się ochładzać, a potem ponownie się ogrzewa w świetle obu słońc.

To zaczynało się nawet w tej chwili, wzbudzając wiatr już zaraz po wschodzie Alfy.

– A co z tubylcami? – zapytał porucznik. – Czy oni mogą zacząć zachowywać się, w jeszcze bardziej szalony sposób niż teraz…?

– Mogą i prawdopodobnie będą. Oni uważają, że to jest koniec świata. Ostatnia Pora Gorąca. – Przypomniał sobie określenie tubylców, a potem przetłumaczył je na Lingua Terra. – Ogień na Niebie –– to jest Alfa –– wypali cały świat.

– Ale przecież to dzieje się co dziewięćdziesiąt lat. Czy to znaczy, że oni zawsze zachowywali się w taki sposób podczas peryastronu?

Miles pokręcił przecząco głową.

– Gdyby tak było, ta rasa eksterminowałaby samą siebie już dawno temu. Nie, to jest coś specjalnego. Przybycie Terran było znakiem. Terranie przybyli i przynieśli ze sobą na świat oomphel. To jest znak, że Ostatnia Pora Gorąca jest już na wyciągnięcie ręki.

– A co to, u diabła, jest ten oomphel? – Porucznik wycierał teraz sobie jedną ręką tył szyi, a drugą starał się odciągnąć od ciała, przylepiającą się do niego tunikę. – Słyszę to słowo niemal przez cały czas.

– No cóż, większość Terran, włączając w to starych wyjadaczy na Kwannon, używa tego terminu do określenia towarów na handel. Dla tubylców oznacza to dowolny wytwór technologii terrańskiej, od spinaczy do papieru, do statków kosmicznych. Wydaje im się, że one są… no cóż, nie do końca nadnaturalne, lepiej tę ideę wyrażałoby słowo pozanaturalne. Sami Terranie są naturalni, są po prostu innego rodzaju ludźmi. Ale oomphel, już nie są. W ogóle nie poddają się one żadnym prawom natury. Wszyscy Kwannowie zgadzają się między sobą, że to nie my je robimy. Niektórzy nawet myślą, że to one robią nas.

Kiedy wrócił do samochodu, jego pilot, Heshto, rozwalał się w swoim fotelu, gapiąc się z nieskrywaną pogardą na tłum tubylców, zebranych w dalszym końcu placu zgromadzeń. Heshto ukończył jedną ze szkół Komisji Rozwoju Tubylców, a następnie uczył się dalej, dzięki Kwannon Planetwide News. Potrafił mówić, czytać i pisać w Lingua Terra. Posiadał wiedzę matematyczną, przynajmniej do poziomu dzielenia i ułamków dziesiętnych. Wiedział, że Kwannon była drugą planetą w układzie Bety Gettlera, miała 23 000 mil obwodu, obracała się wokół swojej osi w czasie 22.8 Standardowych Godzin Galaktycznych i dokonywała obiegu po orbicie wokół Bety Gettlera, co 372.06 miejscowe dni astronomiczne. Wiedział również, że Alfa była gwiazdą pulsującą, klasy M, ze średnim okresem zmienności wynoszącym około czterystu dni, oraz że Beta orbitowała wokół niej po wydłużonej orbicie eliptycznej, co dziewięćdziesiąt lat. Nie wierzył, że obecnie miała nastąpić jakaś Ostatnia Pora Gorąca. Był bez wątpienia intelektualistą, na swój sposób.

Zaraz jak tylko Miles znalazł się w swoim fotelu, uruchomił generator pola kontra grawitacyjnego.

– Gdzie teraz, szefie? – zapytał.

– Wioska Qualphy. Nie będziemy lądować. Zrobimy tylko kółko, nisko nad nią. Chciałbym sfilmować kilka widoków ruin. Potem, na plantację Sandersa.

– O.K., szefie. Proszę mocno się złapać.

Podniósł samochód na wysokość tysiąca stóp. Wycelował przodem w wyznaczonym na podstawie mapy kierunku, do Wioski Qualphy, i odpalił wszystko, co miał –– silniki odrzutowe, dopalacze rakietowe i inne rzeczy. Linia lasu pomknęła błyskawicznie w ich stronę, pędząc od strony horyzontu.

To właśnie w Qualphie wybuchły pierwsze kłopoty, po rejteradzie od Sandersa. Wojsko nie zdołało dotrzeć tam na czas, i osada została spalona. Inna wioska na południu, położona mniej więcej w tej samej odległości od plantacji, również stanęła w płomieniach, a w kilkunastu kolejnych, znaleziono tubylców usiłujących wprawić się w stan szaleństwa i musiano wypuścić na nich gaz usypiający albo ogłuszyć ich bombami hukowymi. Takie sceny działy się we wioskach, do których dezerterzy od Sandersa dotarli osobiście, z każdej z nich, do sąsiednich osad wyruszyli gońcy z wieścią: „Ci Którzy Odeszli, powrócili. Wszyscy Ludzie muszą powitać ich na Deesha-Phoo. Spalcie swoje wioski. Roześlijcie wieści. Pośpieszcie się, ci Którzy Odeszli, powrócili!"

Uratowanie chociaż części tych wiosek, było bardzo niepewną sprawą, wymagającą błyskawicznych działań. Gońcy, mający kilka godzin przewagi, dotarli do nich przed żołnierzami i w paru z nich wybuchły strzelaniny. Potem, we wioskach, które w tym kilkugodzinnym okresie nie mogły zostać osiągnięte przez gońców na piechotę, zaczęły lądować pojazdy kontragrawitacyjne Armii. Rozprzestrzeniająca się fala, została powstrzymana –– a przynajmniej na pewien czas, na tym obszarze. Kiedy i gdzie wzbierze następna, nikt tego nie potrafił przewidzieć.

Samochód zwalniał i obniżał wysokość, z przodu widział wznoszącą się wąską strugę dymu. Przeszedł naprzód, siadając obok pilota i opuścił swoją lornetkę. Przy jej pomocy mógł już dostrzec ruiny wioski. Połączył się z Bluelake, a następnie przyłożył oko do wizjera i zaczął transmitować cały widok.

Wioska była bardzo podobna do tej, którą dopiero co opuścił: chaty z błota i plecionki, stojące wokół owalnego placu zebrań, palisada i otaczające ją pola. Heshto obniżył lot samochodu do wysokości kilkuset stóp i szybował, korzystając z nabranego wcześniej rozpędu, jedynie od czasu do czasu wspomagając lot krótkotrwałym odrzutem silników. Kilka sekcji palisady ciągle jeszcze stało, a jeden z boków khamdoo nie przewrócił się do końca, ale reszta z budynków kompletnie leżała na ziemi. W zasięgu wzroku, nie było nigdzie widać nawet żywej duszy, ani człowieka, ani paraczłowieka. Jedynym żywym stworzeniem był niewielki, czarno-szary czworonóg, sprawdzający jakieś porzucone na polach tobołki, w nadziei znalezienia czegoś smacznego do jedzenia. Sfilmował ujęcie z małym stworem –– wszyscy lubili zdjęcia zwierząt, podczas przekazu –– a potem kazał Heshto, podlecieć pojazdem nad ciągle jeszcze palące się ruiny. W popiołach każdej chaty, można było dostrzec resztki czegoś podobnego do ekranów wizyjnych, piecyków nuklearno-elektrycznych, albo lodówek i maszyn do szycia. Wiedział, jak bardzo Kwannowie cenili

sobie, posiadanie takich rzeczy. To, że je zniszczyli, bardzo go zasmuciło. Ale Ostatnia Pora Gorąca, zbliżała się już coraz bardziej. Cały świat miał zostać zniszczony przez ogień, a potem mieli wrócić Ci Którzy Odeszli.

Tak, na plantacjach zdarzały się już wcześniej nawet bunty. Paul Sanders miał szczęście. Jego Kwannowie po prostu zabrali się i odeszli. Ale on zawsze zachowywał się w porządku wobec tubylców a jego dom na plantacji, stanowił dosłownie twierdzę i trzymał w nim cały arsenał rozmaitego uzbrojenia. Zdarzali się jednak inni plantatorzy, którzy popełnili podwójny błąd, wzbudzając wrogość swoich tubylczych pracowników i mieszkając w nieufortyfikowanych domach. Wielu z nich już nie żyło, a ich plantacje stały się wypatroszonymi ruinami.

Były również plantacje, na których tubylcy wycięli uprawy kloobа i zniszczyli żyjące na nich symbiotyczne kryształy. Myśleli, że Terranie wykorzystują żyjące kryształy do uprawiania magii. Ich domysły nie były zresztą aż tak odległe od prawdy. Właściwości biokryształów z Kwannon, otworzyły przełomowe możliwości w fizyce subjądrowej i spowodowały powstanie kilkunastu nowych technologii. Nowego rodzaju oomphel. Daleko na południu, gdzie gąbczaste i żywiczne drzewa dobrze wysychały z gorąca, tubylcy zaczęli wzniecać w lesie pożary, ginąc w nich sami w hekatombach. Na północy zaś, wyrajali się, uciekając w góry, wzniecając tam również wielkie pożary oraz atakując stacje radarowe i radiolatarnie.

Wspólnym czynnikiem tych wszystkich szalonych czynów, był ogień. Nic nie mogło dziać się bez pomocy magicznej. Sposobem w jaki miała przyjść Ostatnia Pora Gorąca, było działanie Ludzi.

Być może ci, którzy umarli w wyniku szaleństw i wyrojeń, byli dzięki temu szczęśliwi. Nie będą musieli żyć przytłoczeni rozczarowaniem, kiedy Ogień na Niebie zacznie słabnąć, gdy Beta rozpocznie długi marsz w kierunku apastronu. Shoonoo, którzy przeżyją, nie będą należeć do specjalnie zadowolonych, to było raczej pewne. Czarownik na publicznym urzędzie, wystarczy że popełni jedną paskudną pomyłkę, i grozi mu to od razu jakąś naprawdę nieprzyjemną śmiercią z rąk jego własnych klientów. A cała obecna sytuacja, miała przecież wkrótce okazać się największą magiczno-proroczą klapą w całej długiej, chociaż przez nikogo nie spisywanej, historii Kwannon.

Kilka minut po tym, jak samochód skierował się na południe od zniszczonej wioski, zobaczyli przed sobą wiszące w powietrzu pojazdy kontragrawitacyjne, a następnie pola i zabudowania plantacji Sandersa. Znacznie więcej kontragrawitatorów stało na ziemi, na nieuprawianych częściach gruntu, a obok nich stały rzędy pneumatycznych baloniastych namiotów i kuchni polowych, oraz cały park sprzętu inżynieryjnego. Równolegle, na polach klooba, przez cały czas trwała praca. Mniej więcej trzystu tubylców, rozcinało sześciostopowe kule liści i wyciągało z nich biokryształy. Pilnowały ich trzy z należących do plantacji jeepów powietrznych, każdy z nich wyposażony w parę karabinów maszynowych, ale nie wydawało się, aby miały wyniknąć tu jakieś kłopoty. W kolejnym jeepie zobaczył Sandersa, i Heshto ustawił samochód obok jego.

– Jak leci, Paul? – spytał go przez radio Miles. – Widzę, że otrzymałeś w końcu jakąś pomoc.

– Wszystkich, którzy przeżyli w Qualpha i tych z Darshat – odparł Sanders. – Armia nie miała ich gdzie umieścić, po tym jak popalili sobie domy. – Roześmiał się szczęśliwym śmiechem. – Miles, chyba ocalę całe moje zbiory! Dzisiaj rano myślałem już, że jestem skończony.

I byłoby tak, gdyby Gonzales nie sprowadził tutaj tych Kwannów. Niesprzątnięta na czas klooba zaczynała usychać, a razem ze swoim gospodarzem, umierały również biokryształy, rozpadając się i stając się bezwartościowe. Podobnie jak i inni plantatorzy, Sanders z powodu panującego gorąca, nie rozpoczął uprawy nowych kryształów i nie mógł rozpocząć, dopóki nie miną najgorsze upały. Będzie potrzebował każdego kryształu, jaki uda mu się sprzedać, aby przetrwać ten okres.



– Komisja tubylców, zrobi z tego wielki skandal, ze zmuszaniem do pracy – przewidywał Miles.

– A skąd taki pomysł? – Sanders był niemal zszokowany. – Ja nie zmuszam nikogo z nich do jedzenia.

– Komisja wcale nie uważa, że każdy musi pracować, żeby jeść. Oni sądzą, że każdego trzeba nakarmić, niezależnie od tego, czy robi on cokolwiek, aby zapracować na jedzenie dla siebie, czy nie. Jeżeli próbujesz żądać od ludzi, żeby zarabiali na swoje wyżywienie, to dopuszczasz się presji ekonomicznej. A jeżeli prowadzisz swój własny biznes i chcesz, żeby dla ciebie pracowali, to jesteś wyzyskiwaczem i powinieneś zostać wyeliminowany, jako klasa. Chyba już dostatecznie długo usiłujesz prowadzić plantację na tej planecie i przy tym Rządzie Kolonialnym, żeby wiedzieć takie rzeczy, co Paul?

Generał brygady Ramón Gonzales zajął na swoją kwaterę główną pierwsze, licząc od najniższego poziomu lądowiska, piętro domu plantatora. Jego kompania sztabowa zdemontowała usuwalne ścianki działowe i zmieniła cztery pokoje w jeden, ściągając do niego taką liczbę monitorów, dalekopisów, drukarek i komputerów, że wystarczyłoby to spokojnie do wyposażenia głównego newsroomu *Planetwide News*. Miejsce to w ogóle wyglądało jak newsroom. Newsroom po tym jak wybuchła jakaś wielka sensacja, i właśnie trwała jej transmisja na antenie, a wszyscy –– w tym przypadku mniej więcej dwudziestu terrańskich oficerów i cywili, połowa z nich były to kobiety –– stali dookoła, obserwując ekrany, paląc papierosy oraz rozmyślając w jaki sposób podążać za biegiem spraw, mieć gotowe wnioski i plany odnośnie dalszego rozwoju sytuacji.

Sam Gonzales odpoczywał w gabinecie Sandersa, z rozpiętym pasem i tuniką. Miał czarne oczy, czarne włosy i lekko końską twarz, które to cechy dobrze pasowały do jego hiszpańskiego, z dawnych czasów Terry, nazwiska. Razem z nim był drugi oficer, znacznie od niego młodszy –– kapitan Foxx Travis, adiutant generała Maitha.

– No dobrze, co możemy dla ciebie zrobić, Miles? – spytał Gonzales, kiedy wymienili powitania i usiedli.

– Może mógłbym dostać waszą mapę ostatecznego rozwoju sytuacji? A ty zgodziłbyś się na wygłoszenie oświadczenia na audio-wizualu. – Spojrzał na zegarek. – Mamy jakieś dwadzieścia minut do czasu nadawania.

– Mapę już masz – odparł ostrożnie Gonzales, tak jakby przechodził na paluszkach od jednego słowa do drugiego. – Odzwierciedla ona dokładnie sytuację, jak na tę chwilę, ale obawiam się, że mogły wkraść się na niej jakieś drobne nieuniknione nieścisłości, podczas oznaczania pozycji i czasów w trakcie wcześniejszych faz operacji. Wysłałem dalekopisem kopię do *Planetwide*, razem z wersją, która poszła do Sztabu Dywizji.

Zrozumiał wymowę tego faktu i skinął głową. Gonzales zapinał suwak swojej tuniki i założył pas, przypinając do niego kaburę z bronią. To powiedziało mu już, zanim jeszcze generał ponownie się odezwał, że miał zamiar zgodzić się na występ w audio-wizualu i wygłoszenie oświadczenia. Podczas gdy Gonzales sprawdzał swój wygląd w lustrze, Miles połączył się ze studiem nagraniowym w *Planetwide*, każąc im przygotować się do rejestracji. Po upływie paru minut, Gonzales, mówiąc bez żadnych notatek, przekazał krótki opis całej operacji.

– W obecnej chwili – podsumował, – zajęliśmy każdą wioskę tubylców, każdą plantację i placówkę handlową, w promieniu dwustu mil od plantacji Sandersa. Uważamy, że to wyrojenie zostało definitywnie opanowane, ale utrzymamy swoje siły w tych miejscach, co najmniej przez następne dwieście godzin. W międzyczasie tubylcy w zajętych wioskach zostali zatrudnieni do budowy schronień dla siebie, na wypadek przewidywanych w przyszłości burz.

– Nie wiedziałem o tym – powiedział Miles, kiedy generał wrócił na swoje krzesło i z powrotem zajął się odstawionym wcześniej drinkiem.

– Tak. Kiedy zaczną się burze, będą potrzebować czegoś znacznie lepszego niż te kryte strzechą chaty, a praca nad tym, powstrzyma ich od myślenia o psotach. Standardowe schrony polowe magatona-kilometr, konstrukcja ziemna i drewniana. Wydaje mi się, że wytrzymają one wszystko, co może wydarzyć się w peryastronie.

Wszystko, co zostało zaprojektowane, aby oprzeć się skutkom gorąca, podmuchu i promieniowania, eksplozji megatonowej bomby termonuklearnej, w odległości jednego kilometra, powinno wytrzymać w warunkach, jakie się zbliżały w najbliższym czasie. A przynajmniej, jeśli chodzi o skutki przejścia przez periastron, dochodziły do tego jeszcze pewne inne kwestie.

– Komisja Rozwoju Tubylców, nie przyjmie tego ze specjalną wdzięcznością. To powinno należeć do ich obowiązków.

– Dlaczego więc, u diabła, tego nie robią? – gniewnie dopytywał się Gonzales. – Przyjrzałem się na ekranie, każdej wiosce tubylców na tym obszarze, i nie widziałem żadnej, która byłaby wyposażona w coś lepszego, niż te magazyny z kłód, stojące koło palisad.

– Dziesięć lat temu pojawił się projekt, aby przygotować im schrony przeciwko burzom w peryastronie. Spędzili rok na dyskusjach, w jaki sposób tubylcy zdołali przetrwać burze, przed przybyciem tutaj Terran. Według informacji najstarszych tubylców, chronili się w tych magazynach z bali, o których wspomniałeś. W każdej wiosce przeżył tylko jeden na trzech. Mógłbym im to od razu powiedzieć. A właściwie, mówiłem im o tym, i to na okrągło, na antenie. Potem, kiedy zdecydowali, że jednak potrzebne są jakieś schrony, spędzili kolejny rok, kłócąc się o to, kto powinien być odpowiedzialny za ich zaprojektowanie. Twój poprzednik na tym stanowisku, generał Nokami, zaoferował usługi swoich oficerów inżynieryjnych. Otrzymał lodowatą odpowiedź, że to ma być projekt humanitarny, a nie wojskowy.

Gonzales Ramon głośno zaklął, a potem przeprosił za przerwanie.

– I co dalej? – zapytał.

– Absolutnie nie ma potrzeby przepraszać… Dalej, zaprojektowali w końcu te schrony i zaczęli uczyć niektórych uczniów ze szkół dla tubylców, jak je budować. Wtedy jednak meteorolodzy powiedzieli im, że to jest bez sensu. To były schrony wkopywane w ziemię. Ludzie od pogody natychmiast im wyjaśnili, że podczas burz opady deszczu mierzone będą w metrach, a nie w calach, i każdy kto zostanie przez nie złapany w tych wykopach, utonie jak szczur.

– Ha, pomyślałem o tym – powiedział Gonzales. – Moje schrony będą wznosić się osiem stóp ponad powierzchnię gruntu.

– I co wtedy zrobili? – chciał wiedzieć Foxx Travis.

– Wtedy sprawa poszła w odstawkę. O ile wiem, od tej pory, aż do dzisiaj, nic nie zostało zrobione.

– I myślisz, że mając za sobą taką niesławną historię kompletnego braku jakichkolwiek osiągnięć, spróbują oprotestować działania generała Gonzalesa, z czysto formalnych powodów? – dopytywał się Travis.

– Nie z powodów formalnych, Foxx. Generał podchodzi do tego od niewłaściwej strony. Po pierwsze rzeczywiście wie, co należy zrobić, i jak to należy zrobić, a po drugie wali prosto z mostu, i robi to, nie przeprowadzając kilkunastu konferencji i dyskusji panelowych, dając przez to każdemu uczciwą i równą szansę, aby mógł zwalić wszystkie brudy prosto na niego. Wiesz, równie dobrze jak i ja, że to jest niedemokratyczne. A co gorsze, każe tubylcom, aby sami zbudowali te schrony dla siebie, niezależnie od tego, czy oni chcą to robić, czy nie, a to jest zmuszanie do pracy. Coś mi to przypomniało. Czy ktoś może zaczął się awanturować, o tych Kwannów z Qualphy oraz Darshat, których sprowadziliście tutaj i których Paul zagonił do roboty?

Gonzales spojrzał na Travisa, a potem odparł:

– Nie do mnie. A w każdym bądź razie, jeszcze nie.

– Były skargi do generała Maitha – krótko oznajmił Travis. Po chwili dodał jeszcze: – Generał Maith w pełni wspiera generała Gonzalesa. Możesz to opublikować. Jestem upoważniony do takiego oświadczenia. A co innego można było zrobić? Spalili swoje wioski i przechowywane w nich zapasy żywności. Trzeba było ich gdzieś umieścić. A dlaczego, w imię jakiegoś elementarnego zdrowego rozsądku, mieliby sobie siedzieć gdzieś w cieniu, w kółeczku, zjadając rządowe racje żywnościowe dla tubylców, podczas gdy Paulowi Sandersowi usychają na jego oczach, kryształy warte od pięćdziesięciu do stu tysięcy soli?

– No tak. To jest kolejna rzecz, o którą podniesie się wrzask. Paul ciągnie z tego zyski.

– Oczywiście, że to on ciągnie z tego zyski – odparł Gonzales. – A kto inny prowadzi tę plantację, jak nie on? Gdyby plantatorzy nie mieli z tego zysków, to kto by chciał hodować biokryształy?

– Rząd Kolonialny. W taki sam sposób, jak budowali te schrony przeciwburzowe. Ale byłoby to w końcu robione w interesie publicznym, i jeżeli Kwannowie nie zdołaliby wykrzesać z siebie dostatecznie silnego ducha publicznego do wykonania tej pracy, zostaliby do tego zmuszeni –– za mniej więcej połowę tego, ile płacą im obecnie plantatorzy, tacy jak Sanders. Ale czy wy nie wiecie, że zysk jest czymś absolutnie paskudnym, nieuczciwym i samolubnym? To zupełnie coś innego, niż wyciąganie opłat-na-pokrycie-wydatków, od Rządu.

– Masz rację, to coś innego – zgodził się z nim Gonzales. – Ludzie tacy jak Paul Sanders muszą mieć talent. Gdyby go nie mieli, nie zostaliby długo w biznesie. Jeżeli ktoś ma jakieś zdolności, to ludzie którzy ich w ogóle nie mają, nigdy mu tego nie wybaczą. Każda chwila jego istnienia jest dla nich stałym wyrzutem.

– To prawda. A w dodatku nie mogą przyznać, że jego talent jest faktem, bez przyznania przy tym swojej własnej niższości. A więc, to w ogóle nie są żadne zdolności. To tylko brudne, skryte oszustwo i samolubna bezwzględność. – Zastawiał się przez chwilę. – Jak Pałac Rządowy dowiedział się o tych sprowadzonych tu Kwannach?

– Kiedy organizowałem tutaj mój sztab, na plantacji byli ludzie przysłani przez Komisję Rozwoju – przypomniał sobie Gonzales. – To było mniej więcej o zero-siedem sto.

– To nie jest do publikacji? – spytał Travis. – No cóż, może oni o tym wiedzą, ale nie potrafią udowodnić, że podawany przez nas główny powód, przesunięcia tutaj siłą Kwannów, jest nieprawdziwy. Oczywiście, teraz już nie możemy zmienić naszej legendy. To właśnie dlatego ta mapa rozwoju sytuacji, przygotowana przez nas do publikacji, nie jest poprawna, co do wcześniejszych faz. Oni nie wiedzą, że to ty nam przekazałeś pierwsze ostrzeżenie, przypisują więc to Sandersowi. W zawiązku z tym twierdzą, że nigdy nie było żadnego wyrojenia. Według nich, tubylcy Sandersa rozpoczęli strajk, żądając wyższej płacy i lepszych warunków, a Sanders i generał Maith mieli użyć żołnierzy do złamania strajku. Żałuję, że nie możemy oddać ci zasług za władowanie nas w to, ale teraz jest już na to za późno.

Skinął głową. Legenda głosiła, że tubylcy zaatakowali mały oddział, i na ratunek mu, wysłany został batalion piechoty. Potem, dla jego wzmocnienia przerzucano w tę okolicę kolejnych żołnierzy, aż w końcu zaangażowana została cała brygada Gonzalesa.

– Przez to na początku zmarnowaliśmy godzinę – powiedział Gonzales. – Dlatego, że nie mogliśmy ruszyć z pełną siłą i dostatecznie szybko, straciliśmy dwie wsie tubylców, które uległy spaleniu, i mniej więcej dwadzieścia parę ofiar.

– Straty byłyby jeszcze większe, gdyby Maith powiedział gubernatorowi generalnemu prawdę i poprosił o rozkazy do działania. Teraz płonęłyby już setki wiosek oraz dziesiątki plantacji i faktorii handlowych. Bóg wie ilu ludzi by zginęło, a gubernator generalny ciągle by dyskutował, na temat tego, czy sytuacja uzasadnia wydanie rozkazu rozpoczęcia akcji wojskowej. – Osobiście przypominał sobie kilka innych okazji, kiedy wydarzyło się coś podobnego. – Tego rodzaju ludziom, nie można mówić prawdy. Nie uwierzą w nią. Nie zgadza się ona z ich przyjętymi z góry koncepcjami.

Foxx Travis skinął głową.

– Przyjmuję, że to o czym rozmawiamy, ciągle nie jest do publikacji? – Kiedy Miles to potwierdził, mówił dalej: – Miles, ta cała sytuacja jest bardzo kłopotliwa. Zdaje się, że miejscowy rząd wiedział wszystko o warunkach atmosferycznych, jakich można było oczekiwać w peryastronie, i przygotował pewne plany w tym celu. Niektóre z nich są naprawdę doskonałe, ale wszystkie opierają się na założeniu, że tubylcy będą z nami współpracować, a przynajmniej nie będą stwarzać przeszkód. A sam widzisz, jak wygląda sytuacja w rzeczywistości. Powinno być oczywiste dla każdego, że zachowanie tych tubylców, redukuje do zera wszystko, co władze cywilne próbują zrobić w celu zachowania życia terrańskich kolonistów, utrzymania produkcji żywności typu ziemskiego, bez której wszyscy będziemy głodować, zachowania plantacji biokryształów, bez

których zagrożone będzie istnienie kolonii, a nawet przetrwania samych tubylców. A jednak władze cywilne nie podejmują żadnych działań, oby powstrzymać tubylcze szaleństwa i wyrojenia, które narażają na niebezpieczeństwo wszystko i wszystkich na tej planecie. A kiedy Armia próbuje działać, musimy korzystać ze najróżniejszych brudnych sztuczek i wybiegów, aby Rząd Kolonialny nas nie powstrzymał. Co tym ludziom dolega?

– Masz przeciwko sobie całą historię Kolonii, Foxx – wyjaśnił Miles. – Wiesz, że na tej planecie nigdy nie było czegoś takiego jak Koncesjonowana Kompania Kwannońska, która zorganizowałaby eksploatację jej zasobów. Początkowo zresztą, nikt sobie nawet nie uświadamiał, że tutaj są jakieś zasoby warte eksploatacji. Ta planeta była wyłącznie osobliwością naukową. Była to, i ciągle jest jedyna planeta w układzie podwójnym, która miała rodzimą populację istot inteligentnych. Pierwsi ludzie, którzy przybyli na Kwannon, to byli naukowcy, na ogół socjografowie i para-antropolodzy. A większość z nich, przyleciała tutaj z Uniwersytetu Adelaide.

Travis przytaknął. Adelaide miało szeroko znaną w całej Federacji reputację gniazda lewicowego neo-marksistowskiego „liberalizmu".

– No cóż, to już od samego początku, jeszcze w czasach kiedy jedynym biznesem Kolonii, były badania nad tubylcami, zdeterminowało polityczną i społeczną orientację Rządu Kolonialnego. Wiesz przecież, jak te kliki ideologiczne, moszczą się w rządzie, czy też w każdej innej organizacji. Podwładni są zawsze wybierani, na podstawie kryterium zgodności ich światopoglądu, z punktem widzenia swoich przełożonych, a ci najbardziej ekstremalni, zawsze wywindują się na szczyty, spychając umiarkowanych w dół, albo w ogóle wyrzucając ich ze struktury. I w ten sposób Administracja do Spraw Tubylców, stała się ogonem, który wymachiwał rządowym psem, a Komisja Rozwoju Tubylców jest wielkim mięśniem tego ogona.

Jego rodzice nie należeli do lewicowej kliki z Adelaide. Matka była biochemikiem, a ojciec wędrownym korespondentem wiadomości, który zdryfował w handel z tubylcami i zbił fortunę na gumie keffa, zanim chemicy na Ziemi odkryli w jaki sposób można syntetyzować hopkinsinę.

– Kiedy odkryto biokryształy i rozpoczęto ich uprawę na plantacjach, nastawienie Rządu do tego zjawiska, było już ustalone. Uprawianie biokryształów jest po prostu zwykłym, ordynarnym zbijaniem pieniędzy. Prawdziwym interesem Kolonii jest promowanie poprawy losu tubylców, określanego zgodnie z kategoriami Uniwersytetu Adelaide. To znaczy, przerobienie ich na kształt czegoś w rodzaju zastępczych Terran. Wiesz dlaczego generał Maith rozkazał zebranie razem tych shoonoo?

Travis zrobił kwaśną minę.

– Nalegał na to gubernator generalny Kovac. Generał Maith pomyślał sobie, że parę drobnych ustępstw, pomoże mu w realizacji jego głównego celu, którym było powstrzymanie dalszego rozwoju wyrojenia.

– Tak. Komisarz Rozwoju Tubylców chciał aby to zrobić, głównie na skutek ponagleń Dyrektora Pomocy Ekonomicznej, Edukacyjnej i Technicznej. Ta czereda z PEET nie lubi shoonoo. Próbowali, już od czasów

założenia ich agencji, podkopać i zniszczyć ich wpływy wśród tubylców. Tym razem, to wygląda na niezłą szansę do pozbycia się chociaż części z nich.

Travis pokiwał głową.

– Zgadza się. I zaraz jak tylko w Bluelake rozpoczęły się niepokoje, tamtejsza policja, również zaczęła ich gromadzić, przeszukując tymczasowe koszary dla ewakuowanych. Złapali mniej więcej pięćdziesięciu z nich, głównie w koszarach na wschód od miasta –– pomiędzy tubylcami przeniesionymi z terenów zalewanych falą powodziową. Przerzucili całą ich grupę na nas. W tej chwili mamy ich zapuszkowanych w hangarze transportowym, na terenach wojskowych. – Zwrócił się do Gonzalesa. – Jak myślisz, ilu uda ci się zebrać tutaj? – spytał go.

– Powiedzmy, że około stu pięćdziesięciu, jeżeli policzymy ich wszystkich.

Travis jęknął.

– Nie damy rady trzymać ich wszystkich w tamtym hangarze, a nie mamy żadnego innego miejsca…

Nowe pomysły czasami wkradały się do umysłu Milesa delikatnie, ocierając się o jego myśli i mrucząc jak kot. Czasami uderzały w niego jak młot. Ten akurat, zdawał się wyrosnąć w środku jego myśli.

– Wiesz co, Foxx, od jakichś pięciuset godzin mam trzy najwyższe piętra Suzikami Building. Wydzierżawiłem czwarty i piąty poziom, bezpośrednio jeden nad drugim. Nic jeszcze z nimi nie zrobiłem. Są dokładnie w takim stanie, jak zostawił je wyprowadzający się stamtąd Trans-Space Import. Jest tam mnóstwo wody, światła, energii, jest klimatyzacja i wiele toalet, a przy tym poziomy te są zupełnie odseparowane od reszty budynku. Gdyby generał Maith się zgodził, przejąłbym tych shoonoo z jego rąk.

– A co ty, u diabła, masz zamiar z nimi zrobić?

– Spróbuję małego eksperymentu z zakresu wojny psychologicznej. Jako minimum, możemy uzyskać lepszy wgląd w powody, dla których ci tubylcy uważają, że nadchodzi Ostatnia Pora Gorąca. W najlepszym przypadku, może uda nam się powstrzymać całą tę sprawę i spowodować, że ponownie się uspokoją.

– Nawet to minimum, warte jest, żeby spróbować – stwierdził Travis. – Co ci chodzi po głowie, Miles? To znaczy, w jaki sposób masz zamiar to zrobić?

– No cóż, ja sam nie jestem jeszcze tak do końca pewien. – To było kłamstwo. Był absolutnie zdecydowany. Jednak uważał, że nie był to właściwy czas, aby odkryć wszystkie karty, w szczegółach. – Będę musiał przejrzeć trochę moich materiałów, zanim zdecyduję się, jak to rozegrać. Jednak cokolwiek by się nie stało, nie zrobię krzywdy żadnemu z shoonoo, ani nie wywołam ani odrobinę większych kłopotów, niż wywołało wcześniejsze ich aresztowanie. Jestem pewien, że uda nam się czegoś od nich dowiedzieć, co najmniej.

Travis skinął głową.

– Generał Maith bardzo sobie ceni twój wgląd w psychologię tubylców – odparł. – To co się stało dzisiejszego ranka, odbyło się dokładnie tak, jak przewidywałeś. Nie wiem ile będzie warta moja rekomendacja, ale ją masz. Czy możesz na tyle zaufać swojemu tubylczemu pilotowi, aby sam odprowadził twój samochód, z powrotem do Bluelake?

– Tak, oczywiście.

– No to leć razem ze mną na przejażdżkę, moim samochodem. Obgadamy to wszystko dokładniej po drodze, a po powrocie od razu pójdziemy zobaczyć się z generałem Maithem.

Kiedy lecieli nad Bluelake, miasto było spokojne, ale był to spokój pełen napięcia. Zaczęli wpadać na wojskowe wozy kontragrawitacyjne już na dwadzieścia mil przed strefą otwartych terenów rolniczych –– były one zielone, zielenią terrańskich roślin chlorofilowych –– a pracujących na nich tubylców pilnowała zwiększona liczba pojazdów wojskowych i policyjnych. Fabryki kultur mięsnych, gdzie w kadziach żywnościowych hodowano tkanki zwierzęce typu terrańskiego, strzeżone były nawet jeszcze czujniej, zaś samo miasto tubylców patrolowano z powietrza, a jego ulice były zupełnie puste. Nie było na nich widać nawet, zazwyczaj tłumnie się tam bawiących, hord tubylczych dzieci.

Terrańskie miasto nie miało ulic. Jego mieszkańcy używali do poruszania się kontragrawitatorów, i wysokie, smukłe budynki wyrastały pojedynczo lub kępami, otoczone rezydencjami z kilkupoziomowymi lądowiskami i przetransplantowanymi zielonymi drzewami. Wokół nich znajdowały się potrójne ogrodzenia z drutów, z których wewnętrzne zazwyczaj zamaskowane było pnączami i winoroślami, zaś środkowe znajdowało się pod napięciem, uprzedzając o tym rzędami jasnych świateł ostrzegawczych. Nawet rząd, poświęcający się pracy nad poprawą losu tubylców, i z taką niechęcią myślący o wydawaniu rozkazów do akcji militarnych przeciwko nim, jak się okazywało z równą niechęcią, myślał o podejmowaniu zbyt wielkiego ryzyka.

Generał Armii Denis Maith, głównodowodzący sił Federacji na Kwannon, był znacznie bardziej niż skłonny do znalezienia czasowego domu dla swoich szamanów, których liczba zbliżyła się obecnie do dwóch setek. Nalegał tylko, aby byli oni przetrzymywani pod wojskową strażą, oraz na przydzielenie swojego adiutanta, kapitana Travisa, do współpracy z projektem. Poza tym, dał Milesowi wolną rękę.

Milesa i Travisa w ciągu następnych dziesięciu godzin, czekały tylko rzadkie okazje do odpoczynku. Pół kompanii żołnierzy wojsk inżynieryjnych również miało pełne ręce roboty, tak samo jak i wielu techników Kwannon Planetwide News i kilku terrańskich i tubylczych mechaników, wypożyczonych z różnych prywatnych koncernów biznesowych, z miasta. Nawet najbardziej ostrożne napomknienia, o tym, co zamierzał Miles, wystarczały żeby zapewnić sobie współpracę tych ostatnich. Poza tym, na tyle długo prowadził już agencję informacyjną w Bluelake, aby zyskać sobie zaufanie pośród ludzi biznesu.

Próbował, na tyle na ile było to możliwe, utrzymać to co się działo, w pewnej dyskrecji przez Pałacem Rządowym. To niestety, okazało się zbyt mało. Zorientował się w tym, kiedy w samym środku prac, na czwartym i piątym poziomie Suzikami Building, na jego ekranie pojawił się generał Maith.

– Właśnie rozmawiałem z gubernatorem generalnym – oznajmił Maith. – Trochę się denerwuje o naszych shoonoo. Twierdzi, że trzymanie ich w Suzikami Building, narazi na niebezpieczeństwo całe terrańskie miasto.

– Czy nie stać go na nic lepszego? Przecież, to są kompletne bzdury i on dobrze o tym wie. Jest ich mniej niż dwustu. Będę miał ich na piątym poziomie, dwadzieścia pięter ponad ziemią, a ten poziom jest szczelnie odizolowany od poziomów leżących niżej. Nie mogą się wydostać, a ja dodatkowo każę wszędzie zamontować zbiorniki z gazem usypiającym, które będzie można otwierać albo pojedynczo, albo wszystkie na raz, przy pomocy przełączników na poziomie czwartym, gdzie będą kwaterować pańscy sipaje.

– Ja to wszystko wiem, panie Gilbert. Oglądałem na monitorach całą instalację. Widziałem już więzienia o najwyższym reżimie bezpieczeństwa, z których łatwiej by się było wydostać.

– Gubernator generalny Kovac, nie zgłasza tych sprzeciwów z osobistych powodów. Robi to pod wpływem nacisków tej kliki Rozwoju Tubylców, rządu w rządzie. Oni nie wiedzą, co chcę zrobić z tymi shoonoo, ale cokolwiek by to nie było, obawiają się tego.

– Dobrze więc. Na razie – powiedział Maith – wydaje mi się, że utrzymam ich z daleka. Władze cywilne nie chcą przejąć odpowiedzialności za trzymanie schwytanych shoonoo w zamknięciu. Odmówiłem dalszej odpowiedzialności za nich, jeżeli mieliby być trzymani gdzieś indziej, a Kovac nie chce ich tak po prostu wypuścić. Tak więc sprawy zostają na razie tak jak były. Musiałem jednak pójść na pewien kompromis. – To nie brzmiało zbyt dobrze. Zabrzmiało nawet jeszcze gorzej, kiedy Maith mówił dalej: – Nalegali na to, żeby mieć kogoś ze swoich ludzi w Suzikami Building, jako obserwatora. Musiałem się na to zgodzić.

– To oznacza, że będą kłopoty.

– Och, ja nie podzielam pańskich obaw. Obserwator, będzie obserwować, i nic więcej. Nie będzie brała udziału w żadnych działaniach, jakie pan podejmie, nie będzie wygłaszała żadnych sprzeciwów, Ani nie będzie przerywała niczego, co pan powie do shoonoo. Byłem dosyć uparty w tych kwestiach i gubernator generalny w pełni się ze mną zgodził.

– Ona?

– Tak. Panna Edith Shaw. Czy wie pan coś na jej temat?

– Spotkałem ją parę razy. Przyjęcia, koktajle i tak dalej. – Była na tyle młoda i na tyle nowa na Kwannon, aby jej umysł nie zabetonował się jeszcze do końca. Z drugiej strony ona była z PEET, co już nie było najlepsze, a w dodatku miała magisterium z socjografii z Adelaide, co było znacznie gorsze. – Kiedy mogę jej się tutaj spodziewać?

– No cóż, gubernator generalny ma się ze mną jeszcze połączyć, żeby dowiedzieć się, kiedy będzie miał pan już u siebie tych shoonoo.

Sam nie chce ze mną rozmawiać, pomyślał sobie Miles. Obawia się, że mógłby coś powiedzieć, a ja go gdzieś zacytuję.

– Dla pańskiej informacji, znajdą się tutaj w ciągu najbliższej godziny. Będą musieli coś zjeść, wszyscy będą zmęczeni i senni. Powiedziałbym, że rozpoczniemy około zero osiem-sto. Och, i czy mógłby pan powiedzieć panu gubernatorowi, aby przekazał pannie Shaw, że powinna wziąć ze sobą rzeczy osobiste do noclegu. Będzie ich potrzebować.

Zerwał się na nogi o 04:00, tuż po wschodzie Bety. Mógł sobie być cywilnym trybikiem w projekcie wojny psychologicznej Armii, ale ciągle miał do wyprodukowania cztery programy informacyjne z wiadomościami, dziennie. Spędził kilka godzin na sprawdzaniu programu o 06:00, oraz poinformował Harry'ego Walsha o nieokreślonej długości okresie, w którym będzie on pełnił funkcje zarówno głównego redaktora jak i producenta. O 07:00 pojawił się Foxx Travis. Zeszli na czwarty poziom, do małego pomieszczenia, które zostało przystosowane do roli posterunku dowodzenia, pokoju kontrolnego i biura, dla Operacji Shoonoo.

Za otwartymi drzwiami biura, stała prostokątna, czarna waliza podróżna, oznaczona inicjałami „E.S.". Travis skinął w jej stronę głową, a potem wyszczerzyli się do siebie, od ucha do ucha. Musiała przyjść naprawdę wcześnie, być może mając nadzieję na przyłapanie ich na ukrywaniu czegoś, czego nie chcieli jej pokazać. Weszli po cichu do biura i zastali ją siedzącą, twarzą do wielkiego ekranu ściennego. Paliła papierosa i przyglądała się paru żołnierzom z Pierwszego Pułku Piechoty Tubylczej Kwannon, zajętym pracą w jakimś innym, przypadkowo wybranym, pomieszczeniu. Obok niej, w popielniczce, znajdowało się ponad dziesięć ubrudzonych szminką niedopałków. Mina jaką miała na twarzy, na swój prywatny użytek, nie była specjalnie szczęśliwa. Być może dlatego, że była sumienną pracownicą, i szczerze troskała się poprawę losu uciemiężonych, albo też o szatańskie manewry, egoistycznych plantatorów.

Wtedy zdała sobie sprawę z tego, że ktoś wszedł do środka. Odwróciła się, a potem wstała z lekkim zaskoczeniem. Była mniej więcej wzrostu Foxxa Travisa, parę cali niższa niż Miles, i szczupła. Jasna blondynka, ubrana w zielony żakiet. Zrzuciła prywatny wyraz twarzy i nałożyła ten przeznaczony do użytku publicznego. Miły i pełen szacunku uśmiech, z odrobiną niepewności w tle. Miles przedstawił Travisa, i usiedli, znowu twarzą do ekranu.

Przekazywał on obraz z kamery umieszczonej pod sufitem, na jednej z dłuższych ścian, wielkiego pomieszczenia. Pośrodku niego stało mnóstwo siedzeń –– bębnokształtnych poduch, które tubylcy przyjęli w miejsce kawałków pni drzew, używanych przez nich do siedzenia, zanim na Kwannon przybyli Terranie –– ustawionych w półkole, z jednym siedzeniem pośrodku, nieco wysuniętym przez inne. Naprzeciw nich stały trzy fotele. Koło jednego z nich, leżał pilot, nieco z tyłu i pomiędzy dwoma pozostałymi, stała kolejna poducha Kwannów. Znajdował się tam jeszcze

duży globus Kwannon, a na ścianie za fotelami wisiała tablica złożona z ekranów wizyjnych.

– Pomiędzy panią, a kapitanem Travisem, będzie siedział tłumacz, sierżant z Armii, tubylec – wyjaśnił Miles. – Nie wiem jak dobra jest pani w języku tubylców, panno Shaw, ale kapitan nie włada nim zbyt biegle.

– Rozumiem, że poduszki są dla nich, a fotele dla panów i władców, Terran – skomentowała oglądany widok. – Nigdy nie traci pan szansy, żeby wbić im do głowy naszą wyższość, nieprawdaż?

– Raczej nigdy nie zmuszam ich umyślnie, do przyjmowania naszych sposobów na życie – zareplikował. – Nasze fotele są równie niewygodne dla nich, jak ich niskie siedzenia, dla nas. Powinna pani wiedzieć, że ta różnica, nie oznacza wcale żadnej wyższości, czy niższości. Oznacza ona tylko po prostu różnicę.

– No dobrze, a co pan próbuje tutaj zrobić?

– Próbuję dowiedzieć się trochę więcej psychologicznych podstawach, stojących za tymi szaleństwami i wyrojeniami.

– Jak przypuszczam, nie przyszło panu do głowy, aby tych powodów szukać w ekonomicznym wyzysku tych ludzi i cierpieniach jakie ich spotykają z rąk plantatorów i handlarzy?

– Acha, a więc oni popełniają samobójstwa i te wszystkie rzeczy, określane przez nas wyrojeniami i szałami ognia na południu, z motywów ekonomicznych? – spytał Travis. – Czy może mi pani wyjaśnić, jak ktoś może poprawić swój status ekonomiczny, poprzez swoją śmierć?

Zignorowała to kłopotliwe pytanie, co zawsze jest dużo prostsze, niż próba odpowiedzi na nie.

– **A**le dlaczego zawraca pan sobie głowę rozmowami z tymi szamanami? Oni nie są reprezentatywną grupą, jeśli chodzi o ogół tubylców. To banda cynicznych szarlatanów, mających swój utajony interes, w utrzymywaniu ignorancji i zabobonów…

– Panno Shaw, w czasie minionych ośmiu stuleci, najpoważniejsze umysły opłakiwały fakt, że postęp w naukach społecznych, nieustannie pozostaje w tyle za postępem w naukach fizycznych. Sugerowałbym, że wyjaśnieniem tej różnicy może być pewna odmienność w podejściu do przedmiotu badań. Naukowcy z dziedziny nauk fizycznych pracują *z* siłami fizyki, nawet jeśli próbują, tak jak w przypadku kontragrawitacji, zniwelować ich działanie. Naukowcy z dziedziny nauk społecznych pracują *przeciwko* siłom społecznym.

– Czego rezultatem są na ogół nędzne porażki, nawet na poziomie dokonań fizycznych – dodał Foxx Travis. – Na przykład możemy tu wspomnieć ten rozpoczęty dziesięć lat temu projekt schronów przeciwburzowych, który zakończył się niczym. Ramon Gonzales rozpoczął projekt schronów, własnego pomysłu, siedemdziesiąt pięć godzin temu, a jest on obecnie na wpół gotowy.

– Tak, przy użyciu pracy niewolniczej!

– Chirurgia pola walki jest również brutalna, zwłaszcza kiedy skończą się zapasy środków znieczulających. Jednak, jest ona znacznie lepszym wyjściem, niż pozwolić umrzeć rannym.

– No dobrze, lepiej wróćmy do rozmowy o tych shoonoo. Stanowią oni poważną siłę między tubylcami, temu przecież nie może pani zaprzeczyć. A więc, ponieważ chcemy wpłynąć na tubylców, czemu nie użyć do tego ich?

– Panie Gilbert, ci shoonoo blokują wszystko, co próbujemy zrobić dla tubylców. Jeżeli wykorzysta ich pan do pracy propagandowej we wioskach, tylko powiększy pan ich prestiż i jeszcze trudniej będzie nam poprawić warunki życia tubylców, zarówno pod kątem ekonomicznym, jak i cywilizacyjnym…

– I właśnie o to chodzi, Miles – stwierdził Travis. – Ta pani nie jest zainteresowana żadnymi faktami dotyczącymi określonych istot humanoidalnych na Kwannon. Ona operuje na dużo wyższym poziomie abstrakcji, jaki nabyła w sali wykładowej w Adelaide na Ziemi.

– Nie. Jej wyobrażenie odnośnie poprawienia warunków życia tubylców, polega na zgarnięciu siłą jak największej liczby młodych Kwannów, wsadzeniu ich do rządowych szkół, zasypania ich lawiną informacji, do których nie są przygotowani, i nie są w stanie ich przetrawić. Nauczenia ich pogardy dla własnego ludu, i wysłania z powrotem do wiosek, gdzie będą zachowywać się z taką nieznośną arogancją, że prawdziwym cudem jest, iż tak niewielu z nich otrzymuje pod żebra strzałę, albo ładunek grubego śrutu. A jeśli już tak się stanie, bo od czasu do czasu, to się zdarza, Komisja Rozwoju powiada, że zostali zamordowani wskutek podszeptów shoonoo.

– Widzi pani, panno Shaw, w tym co mówimy, nie chodzi tylko o jakąś pogardę bandy prymitywów dla jajogłowych – powiedział Travis. – Miles wyjechał na studia na Terrę i specjalizował się w socjografii pozaziemskiej. Ma stopień magistra, tak samo jak pani. Z Montevideo – dodał. – A kolejne dwa lata spędził na podróżach dla Towarzystwa imienia Pauli von Schlickten.

Edith Shaw nic na to nie odpowiedziała. Próbowała tylko rozpaczliwie ukryć wrażenie, jakie wywarły na nią usłyszane przed chwilą słowa. Milesowi przyszło do głowy, że przecież nigdy nie wspominał Travisowi o tej sprawie. Wywiad wojskowy musiał mieć całkiem niezłe dossier na jego temat. Zanim ktokolwiek zdołał powiedzieć coś więcej, do pomieszczenia weszli terrański kapitan i tubylczy sierżant z Pierwszego P.T.K. Na ekranie, czterech sipajów, którzy krzątali się nad ostatnimi przygotowaniami, podniosło swoje auto-karabiny i ustawiło się po obu stronach drzwi naprzeciwko kamery, zajmując pozycje, pozwalające im na otwarcie ognia do wszystkiego co wyjdzie do środka, nie ostrzeliwując przy tym siebie nawzajem.

Przez drzwi weszło stu osiemdziesięciu czterech shoonoo. Niektórzy z nich mieli na sobie szaty, z luźnych pasków gazy, inni nosili płaszcze do

tańca ognia, z czerwonych, żółtych i pomarańczowych wstążek. Wielu było niemal zupełnie nagich, ale wszyscy byli wyamuletowani, aż po same zęby. Musiało na nich wisieć ładnych parę mil drutu z mosiądzu i różnych jasnych stopów, oraz pewnie z pół tony święcących skrawków metalu. Do tego czaszki, kości, pazury, zęby, ogony i inne elementy składowe większości miejscowej fauny. Wmaszerowali do dużego pomieszczenia, zatrzymali się i stali, rozglądając się dookoła z niepewnością. Za nimi wszedł inny tubylczy sierżant i kilku kolejnych sipajów. Rozprowadzili shoonoo po półkolu siedzeń z poduch, odganiając paru z nich od pojedynczego miejsca pośrodku, na przedzie, i kazali im usiąść.

Patrząc na ten widok, tubylczy sierżant w małym pomieszczeniu mruknął coś pod nosem. Kapitan roześmiał się. Edith Shaw na chwilę rozdziawiła usta i powiedziała:

– *O, kurcze*!

Travis po prostu stwierdził, że niech go diabli.

– Wyglądają dosyć niezwykle, nieprawdaż? – zauważył Miles. – Nie wątpię, że to największe zgromadzenie shoonoo, w historii. Nie są za bardzo towarzyskimi typami.

– Być może jesteśmy świadkami początku nowej ery. Pierwsze spotkanie Kwannońskiego Towarzystwa Taumaturgicznego.

Kilku kolejnych szeregowców P.T.K. weszło do sali ze stołami z jedzeniem, wiezionymi na pływach kontragrawitacyjnych, i zaczęło podawać misy z mrożonymi delikatesami, z jedzenia dla tubylców, na punkcie którego Kwannowie tak bardzo szaleli, od czasu wprowadzenia go przez Terran. Miles pozwolił im skończyć, a następnie, kiedy oddali już puste misy, skinął głową w stronę sierżanta P.T.K., który otworzył znajdujące się z lewej strony drzwi. Wszyscy razem weszli do oglądanej na ekranie sali. Kiedy shoonoo ich zobaczyli, przebiegło między nimi poruszenie. Usłyszał powtarzane, na prawo i na lewo, swoje nazwisko, w typowej dla tubylców zniekształconej wymowie.

– Znacie mnie tutaj wszyscy – rozpoczął, po tym, jak już usiedli. – Czy kiedykolwiek byłem wrogiem waszym, albo innych Ludzi?

– Nie – odparł jeden z nich. – On mówi dla nas, do innych Terran. Kiedy jesteśmy krzywdzeni, powoduje, że krzywdy są naprawiane. W czasach głodu, powiedziano mu o naszych kłopotach, i dary z jedzeniem nadeszły, podczas gdy Rząd sprzeczał się tylko o to, co ma zrobić.

Żałował, że nie może zobaczyć twarzy Edith Shaw.

– W naszej wiosce była choroba, i moja magia nie mogła jej uleczyć – powiedział inny. – Mailsh Heelbare dał mi oomphel, żeby ją wyleczyć i powiedział mi, jak go użyć. Zrobił to potajemnie, tak że nie pomniejszyło mnie to potem w oczach ludzi z wioski.

Ale rozwścieczyło to PEET. Pytanie brzmiało tylko, czy bardziej rozgniewała ich sama nieoficjalna pomoc tubylcom jako taka, czy wsparcie prestiżu shoonoo.

– Jego ojciec był handlarzem. Zawsze dawał dobry oomphel i nie oszukiwał. Mailsh Heelbare dorastał pomiędzy nami. Przeszedł Próbę Męskości, razem z innymi chłopcami z wioski – dodał kolejny ze starców. –

Słuchał z szacunkiem opowieści pradziadków. Nie, Mailsh Heelbare nie jest naszym wrogiem. Jest naszym przyjacielem.



– I dowiodę wam tego również i teraz – oświadczył im. – Rząd gniewa się na Ludzi, ale spróbuję odsunąć jego gniew, a w międzyczasie pozwolono mi przychodzić tutaj i rozmawiać z wami. Oto jest wódz żołnierzy i jeden z ludzi Rządu, a wasze słowa będą słyszane przez maszynę oomphel, która zapamięta je i powtórzy Gubernatorowi i Wielkiemu Wodzowi Żołnierzy.

Ich twarze rozjaśniły się. Możliwość nagrania swojego głosu, była wspaniałym zaszczytem. Potem jednak jeden z nich zauważył:

– Ale po co nam to teraz? Mamy przecież Ostatnią Porę Gorąca. Niech pozwolą nam wrócić do naszych wiosek, gdzie nasi ludzie nas potrzebują.

– To właśnie o tym chciałem porozmawiać. Ale przede wszystkim, muszę wysłuchać waszych słów i dowiedzieć się, jakie są wasze myśli. Kto spośród was jest najstarszy? Pozwólcie mu wyjść do przodu i usiąść przed nami, tak bym mógł z nim porozmawiać.

Potem spokojnie czekał, podczas gdy shoonoo dyskutowali, pełnymi szacunku, przyciszonymi glosami. W końcu wyprowadzony został naprzód i zainstalowany na stojącej pośrodku, przed innymi, podusze, jakiś pomarszczony starzec, ubrany w płaszcz z żółtych wstążek i noszący na sobie wysoce obsceniczny i niesamowicie święty drewniany obrazek. Pochodził z wioski położonej na zachodzie, która nie otrzymała na czas wieści o wyrojeniu. Gonzales zabierając go stamtąd, przerwał mu odprawienie magii urodzaju plonów.

Miles oddał mu szacunek, należny jego zaawansowanemu wiekowi i w oczywisty sposób potężnym mocom magicznym, pokazując w ten sposób, swoje zrozumienie, dla urzędowych oznak.

– Rzeczywiście, żyję już od bardzo długa – rozpoczął stary shoonoo. – Widziałem już poprzednią Porę Gorąca. Byłem wtedy dzieckiem, takim

małym. – Pokazał ręką poziom mniej więcej dwóch i pół stóp ponad podłogą. Pozwalało to oszacować jego wiek, na jakieś dziewięćdziesiąt pięć lat, lub coś około tego. – Pamiętam ją.

– A więc, opowiedz nam. Mów nam o Tych Którzy Odeszli, o Ogniu na Niebie i o Ostatniej Porze Gorąca. Opowiedz nam o tych rzeczach tak, jak gdybyś to tylko ty o nich wiedział, tak jakbyś mnie uczył.

Zachwycony starzec świsnął kilka razy, by oczyścić swoje wyloty powietrza, i rozpoczął:

– W dawnych, dawnych czasach, istniał jedynie Wielki Duch. Wielki Duch stworzył Świat i stworzył Ludzi. W tamtych czasach, na całym świecie nie było więcej Ludzi, niż teraz zmieściłoby się w jednej wiosce. Ci Którzy Odeszli mieszkali między nimi, i mówili do nich tak, jak ja teraz mówię do was. Potem, w miarę jak coraz więcej ludzi się rodziło i umierało, dołączając do Tych Którzy Odeszli, zrobiło się ich zbyt wielu, i Ci Którzy Odeszli, wywędrowali stąd aby zbudować miejsce dla siebie i stworzyć Ogień na Niebie wokół niego. Ale w miejscu Tych Którzy Odeszli, w środku Ognia na Niebie, jest zimno. Z tego miejsca w środku Ognia na Niebie, Ci Którzy Odeszli zsyłają ludziom mądrość, we snach.

Zrobił dramatyczną przerwę.

– Ogień na Niebie wędruje po nieboskłonie, ze wschodu na zachód, tak samo jak robi to Zawsze Taki Sam. Ale jest on dużo dalej, niż Zawsze Taki Sam, ponieważ czasami Zawsze Taki Sam przechodzi przed nim, podczas gdy Ogień na Niebie nigdy nie przechodzi przed Zawsze Taki Sam. Żadna z opowieści dziadków, nawet z tych najstarszych, nie mówi nic o tym, kiedy to wszystko się wydarzyło. Czasami Ogień na Niebie jest duży i jasny, wtedy gdy Ci Którzy Odeszli świętują i tańczą. Czasami jest mały i ciemniejszy, kiedy Ci, Którzy Odeszli odpoczywają i śpią. Czasami jest za blisko, i wtedy mamy Porę Gorąca, czasami odchodzi bardzo daleko, wtedy mamy Porę Zimna.

Przez chwilę zastanawiał się nad swoimi kolejnymi słowami:

– A teraz, nadeszła Ostatnia Pora Gorąca. Ogień na Niebie będzie zbliżał się coraz bardziej, potem minie Zawsze Taki Sam, aż w końcu wypali cały Świat. Wtedy będzie nowy Świat i wrócą do nas Ci Którzy Odeszli, a Ludziom dane będą nowe ciała. Kiedy to się stanie, Ogień na Niebie odejdzie stąd, a Ci Którzy Odeszli, będą znowu żyli na Świecie, razem z Ludźmi. Ci Którzy Odeszli będą posiadali wielką magię i nauczą nas mądrości, tak samo jak ja uczę ciebie, i już nie będą musieli wysyłać snów. W nowych czasach plony będą rosły same, bez ich sadzenia, uprawy, albo pracy kobiet. W nowych czasach zwierzęta łowne same będą przychodziły do wiosek, aby można je zabijać na placach zgromadzeń. Nie będzie już więcej głodu, ani ciężkiej pracy, a żaden z Ludzi nigdy już nie umrze, ani nie zostanie zabity. A te nowe czasy rozpoczynają się właśnie teraz – dokończył. – Wszyscy Ludzie to wiedzą.

– Ale powiedz mi, Dziadku, skąd to wszystko wiadomo? Było już przecież wiele Pór Gorąca. Dlaczego właśnie ta miałaby być Ostatnią Porą Gorąca?

– Przybyli Terranie i przywieźli ze sobą na Świat oomphel – odparł stary shoonoo. – To znak.

– Ale to nie zostało przepowiedziane wcześniej. O ile wiem, nikt z Ludzi nie doświadczył żadnego proroctwa związanego z przybyciem Terran. Pytam więc ciebie, który, kiedy przybyli Terranie, byłeś już ojcem swoich dzieci i dziadkiem dzieci swoich dzieci, czy było jakieś proroctwo na ten temat?

Stary shoonoo milczał, obracając w palcach swój obsceniczny obrazek i przyglądając mu się z uwagą.

– Nie – przyznał w końcu. – Zanim przybyli Terranie, nie było pośród ludzi proroctw o ich przybyciu. Potem, oczywiście, było wiele takich przepowiedni, ale wcześniej nie było żadnej.

– To dosyć dziwne. Kiedy dzieje się coś, co jest znakiem jakichś zbliżających się ważnych rzeczy, to powinno być to przepowiedziane wcześniej. – Miles chwilowo pozostawił to ziarenko wątpliwości w spokoju, dając mu czas na wykiełkowanie, i drążył dalej główny temat rozmowy. – A teraz, Dziadku, opowiedz nam o tym, w co wierzą Ludzie, odnośnie Terran.

– Terranie przybyli na Świat, kiedy moja najstarsza córka, urodziła swoje pierwsze dziecko – rozpoczął shoonoo. – Przybyli tutaj w wielkich, okrągłych statkach, takich jakie często przylatują również i teraz, ale jakich wcześniej nikt nigdy nie widział. Powiedzieli, że przylecieli z innego świata, podobnego do Świata Ludzi, ale położonego tak daleko, że Ognia na Niebie nie można z niego nawet zobaczyć. Ciągle zresztą tak mówią, i wielu Ludzi w to wierzy, ale to nie może być prawda. Początkowo myślano, że Terranie byli wielkimi shoonoo, czyniącymi potężne czary, ale to również nie jest prawda. Terranie nie mają magii, ani żadnej mądrości ich własnej rodzaju. Wszystko co mają, to jedynie oomphel, i to oomphel robi dla nich magię oraz uczy ich mądrości. Nawet w szkołach, które Terranie zrobili dla Ludzi, to oomphel zajmuje się uczeniem.

Przeszedł do opisu, nawet niezbyt odległego od rzeczywistości, ekranów do czytania, wyświetlaczy i sprzętu audio-wideo.

– Terranie też nie robią oomphel, tak jak mówią. To oomphel robi dla nich kolejne oomphel.

– A więc, skąd Terranie wzięli pierwsze oomphel?

– Ukradli je Tym Którzy Odeszli – odparł stary shoonoo. – Ci Którzy Odeszli zrobili go w swoim miejscu w środku Ognia na Niebie, aby dać go Ludziom, kiedy powrócą tutaj. A Terranie im go ukradli. Z tego powodu pomiędzy Ludźmi, jest wiele nienawiści do Terran. Terranie żyją w Ciemnym Miejscu, pod Światem, gdzie Ogień na Niebie i Zawsze Taki Sam idą, kiedy ich nie ma na niebie. To właśnie tam Terranie zabrali oomphel Tym Którzy Odeszli, a teraz przybyli na Świat i używają oomphel, żeby odepchnąć Ogień na Niebie i zatrzymać go poza Zawsze Taki Sam, tak by Ostatnia Pora Gorąca nigdy nie nadeszła, zaś Ci Którzy Odeszli, nie powrócili na Świat. Również i z tego powodu, pomiędzy Ludźmi jest wiele nienawiści do Terran.

– Dziadku, gdyby to wszystko było prawdą, byłby to naprawdę dobry powód do takiej nienawiści, a ja wstydziłbym się za to, co moi ludzie zrobili, i co dalej robią. Ale to nieprawda. – Wstał i wyrzucił do góry ręce, tak jakby dusząc w sobie okrzyk oburzenia. – Czy którykolwiek z was widział, abym mówił nieprawdziwe rzeczy, i próbował skłonić Ludzi do zachowywania się, jakby były one szczerą prawdą? A więc zaufajcie mi również i w tym. Pokażę wam prawdziwe rzeczy, które wszyscy zobaczycie na własne oczy, i przekażę wam wielkie tajemnice, na które nadszedł czas, abyście je w końcu poznali i wykorzystali dla dobra Ludzi. Nawet największe tajemnice – dodał jeszcze.

Nastąpiła kilkusekundowa przerwa. Potem shoonoo wybuchli gwarem stu osiemdziesięciu czterech –– nie, trzystu sześćdziesięciu ośmiu –– głosów.

– *Tajemnica Oomphel, Mailsh Heelbare*?

Powoli skinął potwierdzająco głową.

– Tak. Tajemnica Oomphel również zostanie ujawniona.

Oparł się wygodnie, wyraźnie się odprężając, podczas gdy oni próbowali przezwyciężyć podekscytowanie. Foxx Travis popatrzył na niego z niepokojem.

– To się nazywa przyśpieszenie spraw, co nie? Co masz zamiar im powiedzieć?

– Och, jeden wielki stek kłamstw, jak przypuszczam – kpiąco stwierdziła Edith Shaw.

Siedzący za nią i za Travisem tłumacz, tubylczy podoficer, mamrotał do siebie w swoim własnym języku, zdanie, które można było z grubsza przetłumaczyć jako: „Oby tylko, to się dobrze skończyło!”.

Shoonoo uspokoili się i czekali wstrzymując dech.

– Ale jeśli ujawniona zostanie tajemnica oomphel, to co się stanie z shoonoo? – spytał głośno Miles. – Wy sami przecież mówicie, że Terranie nie potrzebują magii, ponieważ czary za nich robią oomphel. To akurat jest prawdą. Jeżeli Ludzie otrzymają Tajemnicę Oomphel, jak bardzo będą potrzebować was, shoonoo?

Najwyraźniej to akurat, nie przyszło im przedtem do głowy. Zerwał się krótki szkwał szeptanych –– a raczej poświstywanych –– rozmów, a następnie ponownie zapadła cisza. Najstarszy shoonoo oświadczył:

– Ufamy ci, Mailsh Heelbare. Zrobisz to, co jest najlepsze dla Ludzi, ale również nie pozwolisz im nas odrzucić, jak potrzaskane skorupy jakichś naczyń.

– Nie, nie zrobię tego – obiecał im. – Tajemnica Oomphel zostanie ujawniona tylko wam, shoonoo. – Przez moment przeleciała mu przez głowę żartobliwa uwaga Foxxa Travisa o Kwannońskim Towarzystwie Taumaturgicznym. – Ale do tej pory zazdrośnie strzegliście przed sobą nawzajem, swoich własnych tajemnic – powiedział. – To musi się skończyć. Wszyscy po równi otrzymacie Tajemnicę Oomphel, dla dobra wszystkich Ludzi. Musicie co do jednego zaprzysiąc braterstwo, każdy z każdym, a jeśli później jakiś inny shoonoo przybędzie do was poznać tę tajemnicę, musicie zaprzysiąc braterstwo również z nim i nauczyć go jej. Czy zgadzacie się na to?

Najstarszy z shoonoo podniósł się na nogi, poprosił o możliwość odejścia, a następnie odprowadził wszystkich na tył pomieszczenia, , gdzie zbili się w ciasną grupę. Nie stali w ten sposób długo. Po niecałych dziesięciu minutach, wrócili i zajęli swoje miejsca.

– Doszliśmy do zgody, Mailsh Heelbare – oświadczył ich rzecznik.

Edith Shaw była pod wrażeniem, bardziej niż po czegokolwiek innym, co widziała wcześniej.

– Trzeba powiedzieć, to że była naprawdę szybka decyzja – wyszeptała.

– Dobrze zrobiliście, Dziadkowie. Nie zostaniecie odrzuceni przez Ludzi, jak roztrzaskane naczynia. Będziecie pośród nich więksi, niż kiedykolwiek wcześniej. Pokażę wam potem, jak to będzie. Najpierw jednak muszę omówić pewne rzeczy dookoła Tajemnicy Oomphel. – Usiłował znaleźć w pamięci jakąś zrozumiałą dla nich analogię, i przyszła mu do głowy jedna z tutejszych roślin, zbudowana warstwami jak cebula, z twardym jądrem w środku. – Tajemnica Oomphel jest jak fooshkoot. Wokół niej jest wiele mniejszych tajemnic, z których każda musi zostać zdarta, jak warstwa z fooshkoot, i zjedzona. Potem w środku, znajdziecie orzech.

– Ale orzech fooshkoot jest gorzki –zauważył któryś z nich.

Miles przytaknął głową, powoli i uroczyście.

– Tak, orzech fooshkoot jest gorzki – zgodził się ze swoim przedmówcą.

Shoonoo popatrzyli po sobie nawzajem, zaniepokojeni jego słowami. Zanim jednak ktokolwiek zdążył zabrać na ten temat głos, zaczął mówić dalej:

– Zanim tajemnica ta zostanie ujawniona, są pewne rzeczy, o których musicie się dowiedzieć. Gdybym przekazał wam ją teraz, nie zrozumielibyście jej. Wierzycie w wiele nieprawdziwych rzeczy, które muszą zostać wyrzucone z waszych umysłów, inaczej zniszczyłyby wasze zrozumienie.

Były to dokładnie przytoczone słowa, które oni sami wygłaszali młodzieńcom, przed przekazaniem im Tajemnicy Męskości. Niektórzy z nich trochę się obrazili, większość jednak się roześmiała. Potem jeden z nich zawołał głośno:

– Mów, o Dziadku, Dziadków! – i wtedy roześmiali się wspólnie. To była dobra rzecz, nadszedł akurat mniej więcej czas, aby nauczyciel puścił w obieg jakiś dowcip. Zaraz jednak z powrotem spoważniał.

– Pierwsza z tych nieprawdziwych rzeczy, jakie musicie wyrzucić ze swoich głów, to te pomysły w które wierzycie, na temat domu Terran. To nie prawda, że pochodzą oni z Ciemnego Miejsca pod Światem. Nie ma żadnego Ciemnego Miejsca pod Światem.

Harmider trwał przez kilka sekund, Był to dla ich całkiem niezły wstrząs. Nie ma Ciemnego Miejsca? A kto to słyszał o takich rzeczach? Najstarszy shoonoo wstał, zaciskając w ramionach swój rzeźbiony w drewnie obraz, i hałas ucichł.

– Mailsh Heelbare, jeżeli nie byłoby czegoś takiego jak Ciemne Miejsce, to gdzie odchodzą Ogień na Niebie i Zawsze Taki Sam, kiedy nie ma ich na niebie?

– One cały czas pozostają na niebie. Świat jest okrągły i niebo jest wszędzie wokół niego.

Wiedzieli o tym, a przynajmniej słyszeli, już od czasu przybycia Terran. Tyle że po prostu w to nie wierzyli. To było sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Najstarszy shoonoo powiedział coś takiego, i jeszcze więcej:

– Co młodzi, którzy wyjechali do terrańskich szkół, również wrócili do wiosek z takimi historiami, ale kto by tam ich słuchał? Oni nie znają szacunku dla swoich wodzów, dla starszych ludzi, ani nawet dla shoonoo. Drwią z opowieści Dziadków. Opowiadają, że mężczyźni powinni wykonywać kobiece prace, a kobiety nie powinny pracować w ogóle. Łamią tabu i powodują kłopoty. To zwykli głupcy.

– Czy ja również jestem głupcem, Dziadku? Czy ja drwię ze starych historii, albo nie okazuję szacunku dla starszych ludzi i shoonoo? A jednak ja, Mailsh Heelbare, wam to mówię. Świat jest naprawdę okrągły, i ja wam to pokażę.

Shoonoo spojrzał pogardliwie na globus.

– Widziałem już takie rzeczy – oświadczył z pewnością w głosie. – To nie jest wcale Świat. To jest tylko zrobione jak on. – Uniósł w górę swój falliczny drzeworyt. – Mogę sobie powiedzieć, że to również jest zrobione jak świat, ale to wcale nie znaczy, że to jest prawda.

– Pokażę wam to na własne oczy. Polecimy wszyscy statkiem. – Popatrzył na swój zegarek. – Ogień na Niebie powinien niedługo zachodzić. Podążymy za nim przez całą drogę dookoła świata na zachód, i powrócimy tutaj od wschodu. Kiedy będziemy tutaj z powrotem, to Ogień na Niebie ciągle jeszcze będzie zachodził. Czy jeżeli wam to pokażę, to uwierzycie mi?

– Jeżeli pokażesz nam to na własne oczy, i nie ma w tym żadnej sztuczki, to będziemy musieli ci uwierzyć.

Kiedy wyszli z wind, Alfa właśnie dotykała zachodniego horyzontu, a Beta nieznacznie minęła punkt zenitu. Statek stał zacumowany na kontragrawitatorach obok pomostu dla pasażerów, czekając na nich z wysuniętym trapem wejściowym. Shoonoo, którzy wyszli na dach budynku, stanęli jak wryci i gapili się na niego. Zaczęli trajkotać między sobą, przytłoczeni cudowną możliwością wejścia na pokład takiego monstrum i oczekującej ich przejażdżki. Był to największy statek, jaki kiedykolwiek w życiu widzieli. Być może paru z nich było na pokładzie małych frachtowców, ale wielu nigdy jeszcze w ogóle nie oderwało się od powierzchni ziemi. Nie wyglądali, ani nie zachowywali się jak banda cynicznych szarlatanów, albo nieubłaganych wrogów postępu i oświecenia. Bardziej byli podobni do gruby uczniaków, których nauczyciel zabierał na niespodziewaną wcześniej wycieczkę.

– Założyłbym się, że to najwspanialszy dzień w ich życiu – stwierdził Travis.

– Och, pewnie. Od dzisiaj to będzie materiał na opowieść dziadków, na całe dziesięć kolejnych pokoleń.

– Nie mogę się nadziwić temu, jak szybko zdecydowali się na pana propozycję, tam na dole – powiedziała Edith Shaw. – Po prostu zebrali się, porozmawiali przez parę minut między sobą i wrócili z podjętą decyzją.

No cóż, ale oni nie mieli żadnej organizacji, żadnego stołka do zachowania, ani organizacyjnej kolejności dziobania. Nikt nie czuł się zobligowany do zaatakowania propozycji zgłoszonej przez kogoś innego, tylko w celu podtrzymania swojego statusu. Pomyślał o Rządzie Kolonialnym, któremu dziesięć lat zajęło nie zbudowanie tych schronów przeciwburzowych.

Jego myśli przerwał Foxx Travis, przyglądając się statkowi:

– Nigdy wcześniej nie wiedziałem tego statku. Nie wiedziałem nawet, że na tej planecie można znaleźć coś takiego. Przecież on mógłby zabrać cały regiment, z zapasami i ekwipunkiem…

– Przez ostatnie pięć lat stał bezczynnie, ponieważ gorąco i kłopoty z tubylcami, powstrzymały napływ turystów do nas. To jest stary *Hesperus*. Statek wycieczkowy. Ta podróż w pogoni za słońcem, którą mamy zamiar odbyć, była zazwyczaj obowiązkowym punktem programu przylatujących na Kwannon turystów.

– Słyszałem o nim. Wyobrażałem sobie, że to musiało być coś podobnego, z całkowicie zaszklonym dziobem, zmienionym w pokład obserwacyjny. Kto jest jego właścicielem?

– Kwannon Air Transport, Ltd. Powiedziałem im, do czego go potrzebujemy, i przygotowali go dla mnie, dostarczyli oficerów, załogę i zaopatrzenie na tę podróż. Pracowali nad doprowadzeniem go do stanu używalności, kiedy my przygotowywaliśmy czwarte i piąte piętro, tam na dole.

– Poprosił pan o ten statek, a oni tak po prostu go panu dali? – Edith Shaw była wyraźnie wstrząśnięta i nie mogła w to uwierzyć. Nie zrobiliby tego dla Rządu.

– Oni też chcą, aby te problemy z tubylcami wreszcie się skończyły. One nie są dobre dla interesów. Wie pani, ta egoistyczna żądza zysku. To kolejna siła społeczna, z którą dobrze byłoby współpracować, a nie działać przeciwko niej.

Shoonoo znaleźli się już na pokładzie, poganiani przez oficera P.T.K. i kilku jego ludzi, oraz paru marynarzy z załogi statku. Grupa sipajów zataszczyła tam także wielki globus, przyniesiony z sali na dole. Wszyscy zebrali się na dziobie, na górnym pokładzie obserwacyjnym, i Miles poprosił o uwagę, którą w końcu udało mu się uzyskać. Wskazał ręką na trzy ekrany widokowe, rozstawione przed znajdującym się na śródokręciu mostkiem. Ten po lewej stronie dostrojony był do kamery, zamontowanej na czubku wieży Terminalu Lotniczego, stojącej w miejscu gdzie spotykały się miasto Terran, tereny zarezerwowane dla wojska i port kosmiczny. Dawał on widok na zachód, ze znajdującą się na linii horyzontu Alfą. Ekran po prawej stronie, pokazywał panoramę z tego samego punktu, ale w

przeciwnym kierunku, na wschód. Ekran pośrodku prezentował powiększony obraz globusa nawigacyjnego, na mostku.

Ekrany widokowe nie były dla shoonoo żadną nowością. Stanowiły ten rodzaj Oomphel, do którego byli dobrze przyzwyczajeni. Nie potrzebował nawet wyjaśniać im niczego więcej, niż tylko to, że mała plamka światła na globusie, wskazuje aktualną pozycję statku. Kiedy był już pewien, że zrozumieli, iż mogą oglądać to co się dzieje w Bluelake, kiedy sami będą poza miastem, połączył się z mostkiem i polecił unieść statek w powietrze, mówiąc oficerowi wachtowemu, aby utrzymywał go na wysokości pięciu tysięcy stóp.

Statek podniósł się powoli, skręcając w stronę zachodzącego olbrzyma klasy M. Ktoś zwrócił uwagę, że obrazy na ekranach, nie zmieniły się. Ktoś inny wyjaśnił mu:

– Oczywiście, że nie. To co widzimy na własne oczy zmienia się, ponieważ statek się porusza. Natomiast to co oglądamy na ekranach, jest tym co widzi ten oomphel na wielkim budynku, a on się nie porusza. To jest też na własne oczy, ale tak jak widzi to oomphel.

– Nieźle idzie – stwierdziła Edith. – Pańska klasa właśnie odkryła pojęcie względności.

Travis spoglądał na ekran od strony wschodniej. Przysunął się bliżej do Milesa i ściszył głos.

– Tam na wschód od miasta, są jakieś problemy. Wielki rój pojazdów kontragrawitacyjnych, pracuje nad czymś na powierzchni ziemi. Widać też, że coś tam się pali…

– Tak, widzę to.

– To jest w tym miejscu, gdzie znajduje się obóz dla tych ewakuowanych. Dlaczego, do diabła, musieli sprowadzić ich tutaj, do Bluelake…

To, oczywiście, była także robota PEET. Kiedy pływy słoneczne stały się na tyle wysokie, że zaczęły zalewać regiony przybrzeżne, tubylcy ewakuowani z tych dystryktów, zostali przetransportowani tutaj, ponieważ ludzie z Edukacji Tubylców chcieli wystawić ich na wpływy miasta. Około połowy shoonoo, zebranych tutaj w okolicy, było ewakuowanych z terenów dotkniętych pływami.

– Zaparkowali ich dokładnie pośrodku obszarów produkcji żywności typu terrańskiego – mówił dalej Travis.

To go mocno martwiło. Być może nie był przyzwyczajony do planet, na których biochemia nie była typu terrańskiego, a Terranie mogli ulec zatruciu, albo w najlepszym przypadku zagłodzić się na śmierć, korzystając z miejscowej żywności. Być może, jako żołnierz, zdawał sobie również sprawę z tego, jak kruchy może być system logistyczny. W każdym razie, był to problem, którym rzeczywiście należało się martwić. Travis przeprosił obecnych i wyszedł w stronę mostka. Miał zamiar połączyć się ze sztabem i dowiedzieć się, co się tam dzieje.

Wybuch podekscytowania pomiędzy shoonoo. Na ekranie pokazującym obraz zachodniego nieba, spostrzegli statek, którym właśnie lecieli. Obserwowali go, póki nie zniknął z „zasięgu widzenia patrzącego oomphel". Do tego czasu znaleźli się nad wyżynnymi lasami, skąd zostali zabrani do Bluelake. Od czasu do czasu, któryś z nich mógł zobaczyć swoją wioskę, a to wznieciło jeszcze większe podekscytowanie.

Przez ekran po prawej stronie, pokazujący obraz w kierunku wschodnim, przemknęły trzy transportowce piechoty i szwadron kawalerii powietrznej. W sprawiającym kłopoty regionie powstało jakieś kolejne ognisko zapalne.

Tłumek zebranych wokół przyniesionego na pokład globusa, zaczął domagać się od Mailsha Heelbare, aby pokazał im którędy będą lecieć dookoła świata, i jakie krainy będą mijać po drodze. Towarzyszyła mu Edith, która przysłuchiwała się temu, co do nich mówi. W tej chwili wręcz już wrzała pełnym szczęścia entuzjazmem. Właśnie zaczęło jej świtać w głowie, że shoonoo byli zabawni.

Żaden z nich nie widział nigdy gór, rozciągających się wzdłuż zachodniego krańca kontynentu, chyba że z dużej odległości. Teraz akurat nad nimi przelatywali. Statek nabrał wysokości, a nawet wtedy musiał manewrować pomiędzy pokrytymi czapami śnieżnymi szczytami. Jak jeden mąż, cała grupa stu osiemdziesięciu czterech shoonoo, pobiegła na sterburtę, aby podziwiać mijany krajobraz. Ocean, pół godziny później, spowodował pośpieszny ruch na dziób. Jakaś dwudziestka z nich, pochodząca z Tidewater, wiedziała, czym jest ocean, ale nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, że na zachodzie rozciąga się drugi. Ocena Milesa programu edukacyjnego PEET, nigdy nie była specjalnie wysoka, a teraz stała się nawet jeszcze niższa. *Młodzi ludzi, którzy wyjechali do terrańskich szkół… a kto by ich słuchał. To głupcy*.

Dalej, za linią brzegową, było jeszcze kilka wysp, shoonoo znajdowali je na globusie na ekranie, a potem na tym, który stał na pokładzie. Kilku z nich zaczęło się dopytywać, dlaczego na ich globusie nie było również widać plamki światła. Odpowiedź, że nie ma on w środku właściwego oomphel, który by to robił, była bardziej niż satysfakcjonującym wyjaśnieniem. Edith usiłowała wytłumaczyć to dokładniej, opowiadając o położonych ponad planetą orbitalnych stacjach nawigacyjnych i radiowych sygnałach naprowadzających, ale wkrótce zrezygnowała.

– Przykro mi. Nie przypuszczałam, że będę o czymś im musiała mówić – przepraszała.

– Och, w porządku. Ja bym jednak nie wchodził w te wszystkie szczegóły. Nie chcemy przeciążyć ich wiedzą.

Nieco później, spytała go o pozwolenie, aby mogła wyjaśnić tubylcom, dlaczego trójkątny koniuszek arktycznego kontynentu, którego krawędź zaczęła pojawiać się na widocznym na ekranie globusie, nie mógł być dostrzeżony bezpośrednio ze statku. Kiedy powiedział, jej, żeby się tym zajęła, wyciągnęła z portmonetki monetę półsolową, położyła ją na globusie z zabranym z Sali i opowiedziała im co to jest krzywizna planety, wyjaśniając że nie mogą zobaczyć niczego co znajduje się w większej

odległości, niż promień okręgu pokrywanego przez monetę. Zaczynało wyglądać, że ten pomysł z eksperymentem z zakresu wojny psychologicznej, może zacząć przynosić również inne, zupełnie nieoczekiwane sukcesy.



Kiedy pozostawili w tyle wyspy, nie było do oglądania nic, poza masą pustej wody. Shoonoo zaczęli robić się głodni, ale nie chcieli schodzić na dół, żeby coś zjeść. Bali się, że mogliby coś przegapić. Tak więc obiad dla nich został przyniesiony na pokład. Miles, Travis i Edith, poszli zjeść do mesy oficerskiej, położonej na tyłach mostka. Edith w tej chwili była jeszcze bardziej podekscytowana, niż shoonoo.

– Oni aż płoną chęcią do nauki! – Miała kłopot z akceptacją tego faktu, który był kompletnie sprzeczny z doktryną PEET. – Dlaczego w takim razie nie chcieli słuchać nauczycieli, których wysłaliśmy do wiosek?

– Słyszała pani starego Shatresha –– tego gościa z obsceniczną rzeźbą i w żółtej szacie. Ci młodzi durnie zachowują się jak głupcy, a rozsądni ludzie nie zwracają uwagi na głupców. Co więcej, wysłano ich w teren indoktrynowanych ideą, że shoonoo to banda starych łgarzy i oszustów, a shoonoo to się nie spodobało. Wie pani, oni wcale nie są starymi łgarzami i oszustami. W ramach swoich ograniczeń, to całkiem uczciwi i etyczni profesjonaliści.

– Och, proszę dać spokój! Myślę, że w pewnym sensie, są naprawdę cudowni, ale proszę nie przypisywać im zbyt dużo.

– To nie ja to robię. To pani.

– Słucham? – popatrzyła na niego z autentycznym zdumieniem. – Ja?

– **T**ak, pani. Wie pani na tyle dużo, by nie wierzyć w magię, tak więc spodziewa się pani po nich, że również myślą podobnie jak pani. No cóż, to jest nieprawda. Pani wie, że pod makroskopowym światem zmysłów, kryją się złożone zjawiska biologiczne, chemiczne i fizyczne, działające aż

do poziomu subnukleonicznego. Oni również wyobrażają sobie, że poza tym co mogą zobaczyć i czego mogą dotknąć, musi także coś istnieć, ale oni myślą, że to jest magia. No cóż, generalnie jako rasa my również tak sądziliśmy, aż do czasów oddalonych zaledwie o parę wieków przed epoką atomową. Ci ludzie są nadal wczesno-neolitycznymi łowcami, którzy dopiero niedawno odkryli uprawę ziemi. Są więc w punkcie, w którym my znajdowaliśmy się dwadzieścia tysięcy lat temu.

Kontynuował po chwili przerwy:

– Czy pani myśli, że jakiś tęgi w gębie Kwann, może obwiesić się mnóstwem szmatek, kości i starego żelastwa, urządzić jakąś zaimprowizowaną maskaradę i stać się w ten sposób shoonoo? No cóż, nie może. Shoonoo są dziedziczną kastą. Ojciec shoonoo zaczyna uczyć swojego syna już od chwili, kiedy tylko zacznie on chodzić i mówić, i uczy go przez wiele lat, aż osiągnie on wiek równoważny doktoratowi.

– No tak, tylko czego on go musi tak uczyć?

– Podstaw teoretycznych i praktycznych zastosowań magii sympatycznej. Oddziaływania na odległość, jednego obiektu na drugi. Magii homeopatycznej: jej zasadą jest, że rzeczy do siebie podobne, będą na siebie oddziaływać. Na przykład jest takie tutejsze zwierzę, które tubylcy nazywają shynph. Ma ono na czole rogowaty występ, podobny do grotu strzały, a kiedy skacze wygina plecy w łuk. Dlatego właśnie shynph równoważny jest łukowi i strzale, i w związku z tym Kwannowie robią cięciwy swoich łuków z jelit shynpha. Teraz używają tensilonu, ponieważ nie zrywa się on tak łatwo, ani nie rozciąga po namoknięciu. A więc, muszą zmienić tensilon w jelito shynpha. Zazwyczaj robili to, malując wizerunek shynpha na szpuli, tak że handlarze również zaczęli oznaczać szpule znaczkiem shynpha. Wydaje mi się, że jednym z pierwszych, który zaczął to robić, był mój ojciec.

Wzruszył ramionami.

– Dalej, jest jeszcze magia przenośna. Wszystko, co było częścią czegoś innego, albo było w kontakcie z tym, będzie już na stałe na to oddziaływać. Chciałbym mieć choć jednego sola za każdy przypadek, kiedy widziałem jak Kwann wyciąga zatyczkę z łuski pocisku, bierze odrobinę ziemi ze śladu jakiegoś zwierzęcia, które właśnie tropi, wsypuje ją między śruciny i wciska z powrotem zatyczkę.

Po chwili mówił dalej:

– Wszystko, co robi Kwann, ma jakiegoś rodzaju implikacje magiczne. To właśnie sprawą shoonoo jest, aby to wszystko wiedzieć. Musi on umieć określić, jakie magiczne oddziaływania w danej sytuacji powinny zostać wytworzone, a jakich należy unikać. Są również pewne okoliczności, w których magia po prostu nie będzie działać, nawet w teorii. Na przykład może być to spowodowane występowaniem jakiegoś potężnego przeciwdziałania. Shoonoo musi więc wiedzieć, kiedy nie może użyć magii, i musi być w stanie wytłumaczyć dlaczego. A kiedy teoretycznie jest w stanie dokonać czegoś przy pomocy magii, musi mieć wiarygodne wyjaśnienia, dlaczego nie daje ona odpowiednich wyników –– dokładnie tak samo, jak wysoce cywilizowany i etyczny terrański doktor medycyny, musi umieć wyjaśnić swoje niepowodzenia, tak by usatysfakcjonować

rodzinę swojego ostatniego pacjenta. Tyle że shoonoo, za błędy w swojej praktyce, nie zostaje pozwany do sądu. Dostaje za nie cios włócznią. W tych okolicznościach, kasta dziedzicznych szamanów jest dosłownie hodowana pod kątem szybkości myślenia. Ci starzy kanciarze, których mamy na pokładzie, pod względem intelektualnym, to śmietanka wśród tubylców. Każdy z nich może bez trudu wykołować te wasze produkty ze szkół rządowych. A co do żerowania na ignorancji i łatwowierności innych tubylców, to oni sami są tylko ociupinkę mniej ignoranccy i łatwowierni. Ale chcą się uczyć –– od każdego kto zdobędzie ich szacunek, poprzez zachowanie szacunku względem nich.

Edith Shaw w odpowiedzi tylko milczała. Przez resztę posiłku była bardzo zamyślona, a kiedy wrócili na pokład obserwacyjny, Miles zauważył, że zdawała się patrzeć na shoonoo w inny sposób.

Na ekranach widokowych pokazujących obraz Bluelake, Beta już zaszła, niebo z wolna ciemniało i zaczęły na nim połyskiwać gwiazdy. Widać było więcej ogni –– jeden, w pobliżu miasta, na wschodzie, zmienił się w regularny pożar –– a walki wybuchły na terenie samego miasta tubylców. Żałował teraz, że wcześniej uznał użycie tych ekranów za konieczne. Shoonoo zauważyli, co się na nich dzieje, i debatowali na ten temat między sobą. Travis, już po jednym spojrzeniu na sytuację, pośpieszył na mostek, żeby wykonać wideo-rozmowę. Po chwili, kiedy wrócił, niemal pękał z tłumionego podniecenia.

– No cóż, w końcu się to stało! Maith zmusił Kovaca, do ogłoszenia stanu wyjątkowego! – oznajmił rozradowanym półgłosem.

– Zmusił go? – Edith była mocno zaintrygowana. – Armia nie może zmusić cywilnego rządu…

– Zagroził, że zrobi to sam. Zainterweniuje i zawiesi prawa obywatelskie.

– Ale myślałam, że tylko Marynarka może zrobić coś takiego.

– Każdy dowódca planetarny Sił Zbrojnych może, w stanie najwyższego zagrożenia. Myślę, że obaj się zgodzili, że przy obecnym biegu spraw, zagrożenie zbliża się już mniej więcej do najwyższego. Kovac zdawał sobie sprawę, że Maith nie ma ochoty tego robić –– musiałby potem stanąć przed sądem wojennym, aby bronić swoich działań –– ale zdawał sobie również sprawę z tego, że gubernator generalny, któremu Siły Zbrojne odebrały władzę nad kolonią, nigdy już nie wraca na swoje stanowisko. Jest skończony. A więc, mieliśmy po prostu sytuację słabszego gracza, ze słabszą kartą.

– A jak to zmienia naszą sytuację? – spytał Miles.

– Jesteśmy ciągle cywilnym projektem naukowym. Ty jesteś podległy rozkazom generała Maitha. Ja podlegam twoim rozkazom. Nic nie wiem o sytuacji Edith.

– Czy mogę ją zatrudnić, czy muszę zrobić to przez ciebie, żeby generał Maith to zrobił?

– Niech pan słucha, proszę tego nie robić – zaprotestowała Edith. – Ciągle pracuję dla Pałacu Rządowego, a ten stan wyjątkowy nie będzie trwał wiecznie. Wszyscy tam będą co do mnie uprzedzeni…

– Miech pani wywali tę rządową posadę przez właz śluzy powietrznej – poradził jej Miles. – Dostanie pani lepszą, w Planetwide News, za półtora razy większe pieniądze. A po kolejnym tąpnięciu w Pałacu Rządowym, mniej więcej za jakiś rok od dzisiaj, być może wróci tam pani jako dyrektor PEET. Kiedy na Ziemi w końcu dowiedzą się, jak fatalnie ten rząd prowadził tutejsze sprawy, będzie tam cała masa wakatów.

Shoonoo obserwowali walki na ekranach. Wtedy ktoś zauważył, że punkt światła na globusie nawigacyjnym zbliżał się do kolejnego wybrzeża, i wszyscy pośpieszyli na dziób, aby rzucić na nie okiem.

Travis i Edith trochę się przespali. Kiedy wrócili aby zmienić Milesa, Alfa wschodziła właśnie na wschód od Bluelake, a walki w mieście ciągle trwały. Shoonoo nadal nie spali i byli bardzo zainteresowani. Kwannowie potrafili wytrzymać bez snu, przez dużo dłuższy okres niż Terranie. Brak stałego cyklu dnia i nocy na ich planecie, powodował że nie byli uwarunkowani do żadnego regularnego rytmu snu i czuwania.

– Właśnie rozmawiałem ze sztabem – powiedział Travis. – Sprawy nie wyglądają dobrze, zupełnie. Większość tubylców z obozów dla ewakuowanych przedostało się do miasta tubylców, a teraz jakoś jeszcze zdobyło mnóstwo broni palnej. A w dodatku zaczyna się robić paskudnie również na zachodzie, poza obszarami okupowanymi przez Gonzalesa, i na północnym wschodzie. A my mamy może z połowę żołnierzy, potrzebnych do zapanowania nad tym wszystkim. Generał chce wiedzieć, jak dajesz sobie radę z shoonoo.

– Porozmawiam z nim, zanim pójdę spać.

Poszedł na mostek i połączył się ze sztabem. Generał Maith wyglądał na równie niewyspanego, jak i on. Obaj witając się, mocno ziewali. Nie miał do przekazania generałowi zbyt wielu wiadomości, i zabrzmiało to trochę jak gładkie wyjaśnienia, które można dostać w szpitalu, pytając o stan zdrowia przyjaciela.

– Skontaktujemy się z panem, zaraz jak tylko wrócimy i wyładujemy naszych shoonoo. Już mniej więcej rozumiemy, jaka jest motywacja tych wszystkich szaleństw, a za mniej więcej dwadzieścia pięć, trzydzieści godzin, będziemy w stanie rozpocząć jakieś prace nad przeciwdziałaniem tej sytuacji.

Twarz generała, na ekranie, wykrzywiła się w kwaśnym grymasie.

– To dużo czasu, panie Gilbert. Obawiam się, że więcej, niż możemy sobie na to pozwolić. Obecnie nie lecicie z pełną szybkością, nieprawdaż?

– Och, nie, panie generale. Po prostu próbujemy przez cały czas utrzymać Alfę na poziomie horyzontu. – Zastanawiał się przez chwilę. – Wcale nie musimy się aż tak bardzo tego trzymać. Jeżeli przyśpieszymy, to może nawet sprawić większe wrażenie.

Wrócił na pokład obserwacyjny, wziął do ręki mikrofon systemu głośnomówiącego i poprosił wszystkich o uwagę.

– Tak więc już widzieliście, że możemy podróżować dookoła świata, na tyle szybko, aby utrzymać się za Ogniem na Niebie, i nie widzimy, aby on

zachodził. Teraz polecimy nawet jeszcze szybciej, i pokażemy wam nowy cud. Zobaczycie jak Ogień na Niebie wschodzi na zachodzie, a Zawsze Taki Sam, będzie zdawał się cofać na niebie. To nie będzie się działo naprawdę. To tylko my będziemy tak to widzieli, ponieważ będziemy szybciej podróżować. Tak więc obserwujcie wszystko, i zobaczcie to na własne oczy.

Połączył się z mostkiem i nakazał przyśpieszenie do pełnej szybkości, a potem powiedział shoonoo, żeby przyglądali się Ogniu na Niebie, i obserwowali go również na ekranach, jak nad Bluelake, pozostaje on w tym samym punkcie.

To był nawet lepszy pomysł. Teraz ścigali się z Ogniem na Niebie i wyraźnie do niego nadrabiali. Po pół godzinie pozostawił tubylców ciągle podekscytowanych i radośnie wykrzykujących na widok stałego postępu. Pięć godzin później, kiedy wrócił po drzemce i pośpiesznym śniadaniu, nadal pokrzykiwali. Edith Shaw była również podniecona. Shoonoo, porównując pozycję Ognia na Niebie nad głowami, z jego pozycją na ekranie, próbowali ocenić jak szybko wrócą do Bluelake.

Generał Maith przyjął ich w swoim prywatnym biurze, w Kwaterze Głównej Armii. Foxx Travis zmieszał drinki dla całej czwórki, podczas gdy generał sprawdzał mikrofony, aby upewnić się, że mogą swobodnie rozmawiać.

– Sam sobie wyrzucam, że nie wymusiłem na nich wprowadzenia stanu wyjątkowego, już jakieś sto godzin wcześniej – powiedział. – Mam trzy brygady. Tę, którą oryginalnie miał tu generał Gonzales, i dwie sprowadzone przeze mnie, kiedy przejąłem dowodzenie. Co najmniej pół brygady musimy utrzymywać na południu, aby powstrzymać plemiona od wzniecania kolejnych pożarów lasu. Nie mogę utrzymać spokoju w Blualake, nie mając w mieście co najmniej pół brygady. Gonzales ma pełne ręce roboty na swoim terenie. Kiedy byliście w tej podróży dookoła świata, miał pewien paskudny problem –– tubylcy w jednej z wiosek wzięli stacjonujących w niej ludzi z zaskoczenia, wybili ich wszystkich do nogi i rozpoczęli kolejne szaleństwo. Zanim je zatrzymał, ogarnęło jeszcze dwie inne wioski. A trzeciej brygady potrzebujemy na północnym wschodzie. Mieszka tam ponad trzy czwarte miliona tubylców, rozciągniętych na obszarze miliona mil kwadratowych. Tak więc jeżeli coś naprawdę poważnego wyskoczy tutaj, bo to co się dzieje w ciągu ostatnich kilku dni jest niczym w porównaniu z tym jak mógłby wyglądać naprawdę poważny wybuch, będziemy musieli ściągać żołnierzy ze wszystkich innych miejsc. Musimy chronić uprawy plonów typu terrańskiego i fabryki kultur mięsnych. Jeżeli to nam się nie uda, to wszyscy będziemy głodować.

Miles skinął głową. Nie potrafił wymyślić niczego sensownego, co by się nadawało na odpowiedź.

– Jak szybko może pan zacząć otrzymywać jakieś wyniki z tymi shoonoo, panie Gilbert? – spytał generał. – Powiedział pan, od dwudziestu

pięciu do trzydziestu godzin. Czy mógłby pan cokolwiek z tego uszczknąć? Za dwadzieścia pięć godzin, piekło rozpęta się już na całym kontynencie.

Miles pokręcił przecząco głową.

– Jak na razie, nie mam jeszcze żadnych pozytywnych wyników – odparł. Wszystko co osiągnąłem dzięki tej wycieczce dookoła świata, to przekonałem ich, że mówiłem prawdę, kiedy powiedziałem im, że nie ma żadnego Ciemnego Miejsca pod Światem, do którego Alfa i Beta idą spać na noc. – Kiedy generał zaczął wściekle kląć, pośpiesznie dodał jeszcze: – Wiem, że to nie wygląda na zbyt dużo. Ale to było konieczne. Muszę przekonać ich, że nie będzie żadnej Ostatniej Pory Gorąca, a wtedy…

Shoonoo, siedzący na swoich poduchach w kształcie bębnów, wpatrywali się w niego w milczeniu, absolutnie osłupiali. Całe szczęście spowodowane cudowną podróżą statkiem, podczas której ścigali Ogień na Niebie dookoła Świata, i złapali go nad Bluelake, a nawet przyjemnością z właśnie zjedzonych mrożonych delikatesów, zupełnie uleciało.

– Nie… ma… Ostatniej… Pory… Gorąca?

– Mailsh Heelbare, to nieprawda. To nie może być prawda!

– Ci Którzy Odeszli…

– Czas Zawsze-Chłodno, kiedy nie będzie już więcej głodu, ciężkiej pracy, ani śmierci… To nie może być prawda, że on nie nadejdzie!

Wstał, unosząc do góry ręce. Jego zachowanie uciszyło zgiełk.

– Dlaczego Ci Którzy Odeszli mieliby wracać na ten biedny świat, który z taką ochotą opuścili? – spytał ich. – Czyż nie urządzili sobie lepszego miejsca, w środku Ognia na Niebie, gdzie zawsze jest chłodno? A dlaczego mielibyście chcieć, aby wrócili oni na ten świat? Czy każdy z was, wcześniej czy później, nie przejdzie do środka Ognia na Niebie? Czy nie zostaną wam wtedy oferowane nowe ciała i nie przyłączycie się do Tych Którzy Odeszli? To tam jest Zawsze-Chłodno. To tam plony rosną bez uprawiania ich i bez pracy kobiet. To tam zwierzyna łowna przybywa do wiosek, aby mogła być zabita na placu zgromadzeń i nie trzeba na nią polować. To tam będziecie mogli rozmawiać ze swoimi Tymi Którzy Odeszli, z waszymi ojcami oraz ojcami waszych ojców, tak jak ja teraz rozmawiam z wami. Dlaczego więc sądzicie, że to powinno nadejść na Świecie Ludzi? Czy nie możecie poczekać na przyłączenie się do Tych Którzy Odeszli w Ogniu na Niebie?

Potem usiadł z rękoma splecionymi na piersiach. Shoonoo patrzyli na niego ze zdumieniem. Ewidentnie wszyscy zrozumieli logikę tego wywodu, ale żaden z nich nie pomyślał o nim wcześniej. Teraz musieli przewałkować go w głowach i przyzwyczaić się do nowego punktu widzenia. Zaczęli poświstywać między sobą. W końcu stary Shatresh, który pamiętał poprzednią Porę Gorąca, przemówił:

– Mailsh Heelbare, ufamy ci – oznajmił. – Powiedziałeś nam o wielu cudach, a potem pokazałeś nam, że te cuda były prawdziwe. Ale czy wiesz, to co nam powiedziałeś, naprawdę?

– Czy chcesz mi powiedzieć, że wy tego nie wiecie? – w odpowiedzi dopytywał się z zaskoczeniem Miles. – Mieliście przecież ojców, a wasi ojcowie swoich ojców. Wszyscy oni odeszli, żeby przyłączyć się do Tych Którzy Odeszli. Dlaczego was również nie miałoby to spotkać? A z jakiego powodu Ci Którzy Odeszli mieliby wracać i zniszczyć Świat Ludzi? Przecież wtedy wasze dzieci, nie miałyby już swoich dzieci, a dzieci waszych dzieci nigdy by się nie mogły narodzić. Ponieważ Ludzie rodzą się na Świecie Ludzi. To właśnie Świat Ludzi jest miejscem gdzie dorastają i nabierają mądrości, aby przystosować się do życia w Miejscu Tych Którzy Odeszli, kiedy już porzucą swoje ciała, których używają na Świecie. Powinniście być szczęśliwi, że nie będzie Ostatniej Pory Gorąca, i że linia waszych potomków, będzie trwać dalej, a nie zostanie wkrótce ucięta jak nożem.

Rozległy się pomruki, wyrażające zgodę z tymi twierdzeniami. Większość zaczęła odczuwać ulgę, że pomimo wszystko, być może nie będzie to Ostatnia Pora Gorąca. Wtedy jeden z grupy spytał:

– A czy Terranie również odchodzą do Miejsca Tych Którzy Odeszli, albo mają jakieś swoje własne tego rodzaju miejsce?

Miles milczał przez dłuższy czas, wpatrując się ze spuszczoną głową w podłogę. Potem uniósł ją.

– Miałem nadzieję, że nie będę musiał wam tego mówić – odparł. – Ale ponieważ zadaliście pytanie, słuszne więc być powinno, abym wam na nie odpowiedział. – Zawahał się ponownie, odwlekając wyjaśnienia, aż siedzący na przedzie, naprzeciw niego Kwannowie zaczęli się niespokojnie wiercić. Potem poprosił starego Shatresha: – Opowiedz o wierzeniach Ludzi, o tym jak został stworzony Świat.

– Świat stworzył Wielki Duch. – Uniósł do góry swoją obsceniczną rzeźbę. – Zrobił Świat z siebie samego. To właśnie jest wyobrażenie, które to pokazuje.

– Wielki Duch stworzył wiele światów – powiedział Miles. – Gwiazdy, które widzicie na nocnym niebie, wszystkie są światami, każda z nich ma wokół siebie wiele mniejszych światów. Wielki Duch uczynił je wszystkie od razu, w jednej chwili, a na wielu z nich stworzył ludzi. Wielki Duch stworzył Świat Ludzi, stworzył Zawsze Taki Sam i Ogień na Niebie. A w środku Ognia na Niebie stworzył miejsce dla Tych Którzy Odeszli. A kiedy stworzył Miejsce dla Tych Którzy Odeszli, włożył do środka Oomphel-Matkę, aby ściągnąć na świat więcej oomphel.

Wywołało to krótkotrwałą sensację. Oomphel-Matka, było to coś, o czym wcześniej nigdy nie pomyśleli, ale teraz sami się sobie dziwili, że mogli coś takiego przeoczyć. Oczywiście, że powinna istnieć jakaś Oomphel-Matka, w przeciwnym razie skąd brałyby się nowe oomphel?

– Świat Terran położony jest bardzo daleko od Świata Ludzi, tak jak zawsze wam to mówiliśmy. Kiedy Wielki Duch go stwarzał, dał nam tylko jedno Zawsze Takie Samo, bez Ognia na Niebie. Ponieważ nie było tam Ognia na Niebie, nie było miejsca do założenia Miejsca dla Tych Którzy Odeszli, tak więc Wielki Duch stworzył Terran takimi, że nie umierali, ale

żyli na wieczność w swoich własnych ciałach. Oomphel-Matkę dla Świata Ziemian, Wielki Duch ukrył w głębokiej jaskini, pod ogromną górą. Terranie, których stworzył Wielki Duch, żyli tak bardzo długo, aż w końcu pewnego dnia mężczyzna i kobieta, znaleźli w ziemi pęknięcie. Weszli do środka i znaleźli jaskinię Ooomphel-Matki, a w niej samą Oomphel-Matkę. Potem zawołali wszystkich innych Terran i wynieśli stamtąd Oomphel-Matkę, a Oomphel-Matka zaczęła dawać im oomphel. Oomphel-Matka dała im metal, tkaniny, szkło i plastik. Dała noże, topory, strzelby i ubranie… – Kontynuował tę wyliczankę, katalogując produkty ludzkiej technologii, a shoonoo wpatrywali się w niego coraz szerszymi oczyma. – No i oczywiście, oomphel do robienia oomphel, oraz oomphel do uczenia mądrości. Stali się dzięki temu bardzo mądrzy i niesamowicie bogaci.

Dokończył jeszcze:

– Wtedy Wielki Duch zobaczył co zrobili Terranie i bardzo się na nich rozgniewał, ponieważ nie było przez niego zamierzone, aby Terranie to zrobili. Tak więc Wielki Duch przeklął Terran, rzucając na nich klątwę śmierci. To nie była taka śmierć, jaką wy znacie. Ponieważ Terranie zgrzeszyli kładąc swoje ręce na Oomphel-Matce, nie tylko ich ciała musiały umierać, ale również ich duchy. Terranin ma więc tylko krótkie życie w swoim ciele, a potem nie ma już żadnego innego.

Rozłożył ręce.

– Tak więc, oto jest Tajemnica Oomphel. Ostatnia warstwa z owocu fooshkoot została zdarta i odrzucona, odsłaniając gorzki orzech, który my Terranie musimy gryźć już od dłuższego czasu niż ktokolwiek byłby w stanie to policzyć. Szczęśliwi ludzie! Kiedy wy umieracie albo giniecie, udajecie się do Miejsca Tych Którzy Odeszli, aby dołączyć do waszych ojców i ojców waszych ojców, aby czekać tam na wasze dzieci i dzieci waszych dzieci. Kiedy my umieramy, albo giniemy, dla nas to jest już koniec.



– Ale sprowadziliście wasze oomphel także na ten Świat. Czy nie przyciągnęliście razem z nimi, również i waszej klątwy? – ktoś spytał, mocno wystraszony.

– Nie. Ludzie nie zgrzeszyli przeciw Wielkiemu Duchowi. Nie położyli swoich rąk na Oomphel-Matce, tak jak zrobiliśmy to my. Oomphel, które tu przywozimy, nie wyrządzą wam żadnej szkody. Czy sądzicie, że bylibyśmy aż tak niegodziwi, aby sprowadzić na was klątwę? Uczenie się tutaj o oomphel, jest dla was dobrą sprawą. W waszym Miejscu Tych Którzy Odeszli, będzie całe mnóstwo oomphel.

– Dlaczego wasi ludzie przybyli na ten świat, Mailsh Heelbare? – spytał stary Shatresh. – Czy zrobiliście to, aby spróbować ukryć się przed klątwą?

– Nie ma takiego miejsca, w którym można by ukryć się przed klątwą Wielkiego Ducha, ale my Terranie, nie jesteśmy też ludźmi, którzy bez walki podporządkowaliby się jakiemukolwiek losowi. Od czasu rzucenia na nas Klątwy Śmierci próbujemy stworzyć duchy, sami dla siebie.

– Ale w jaki sposób moglibyście to zrobić?

– Nie wiemy. Oomphel tego nam nie mówią, chociaż uczą nas wszystkich innych rzeczy. Na razie poznaliśmy tylko wiele sposobów, w jaki nie da się tego dokonać. Nie można tego zrobić korzystając z oomphel, ani przy pomocy wszystkiego, co można znaleźć na naszym własnym świecie. Ale Oomphel-Matka zbudowała dla nas statki, abyśmy mogli polecieć na inne światy, a my udaliśmy się już na wiele z nich, między innymi również na ten, próbując znaleźć coś, z czego moglibyśmy zrobić duchy. Próbujemy zrobić duchy dla nas, również z kryształów rosnących w drzewach klooba. Także i z nimi możemy ponieść porażkę. Ale mówię wam tak. Ja mogę umrzeć, i każdy z żyjących obecnie Terran może umrzeć, i wszyscy będziemy tak, jak gdyby nas nigdy nie było, ale pewnego dnia z pewnością odniesiemy sukces. Pewnego dnia nasze dzieci, albo dzieci naszych dzieci, stworzą duchy dla siebie i będą żyć wiecznie, tak samo jak wy.

– Dlaczego nie powiedziano nam o tym wcześniej, Mailsh Heelbare?

– Byliśmy zawstydzeni, że musimy wam o tym powiedzieć. Wstydzimy się tego, że jesteśmy ludźmi bez duchów.

– Czy możemy pomóc tobie i twoim ludziom? Być może nasza magia zdoła tutaj coś zaradzić.

– Być może zdoła. Warto byłoby spróbować. Ale najpierw musicie pomóc wam samym. Wy i wasi ludzie grzeszycie przeciwko Wielkiemu Duchowi równie straszliwie, jak robili to dawni Terranie. Przyjmijcie w porę ostrzeżenie, żebyście nie odpowiedzieli za swoje czyby równie boleśnie jak my.

– Co chciałeś przez to powiedzieć, Mailsh Heelbare? – Stary Shatresh był wyraźnie wystraszony.

– Odprawiacie czary, aby sprowadzić Ogień na Niebie na Świat. Czy wiecie, co się stanie? Świat Ludzi przejdzie cały w Miejsce Tych Którzy Odeszli, i oba zostaną zniszczone. Świat Ludzi jest światem śmierci. Wszystko co na nim żyje, musi kiedyś umrzeć. Miejsce Tych Którzy Odeszli jest światem życia. Wszystko co w nim się znajduje, żyje wiecznie. Obydwa światy będą się ze sobą zmagały, zniszczą się nawzajem, a w Ogniu na Niebie i na Świecie nie pozostanie nic, poza ogniem. To jest mądrość, której uczą nas oomphel. Znamy tę tajemnicę i przy jej pomocy



potrafimy stworzyć broń o wielkiej niszczycielskiej mocy. – Popatrzył na siedzących shoonoo, wybierając spośród nich tych, ubranych w płaszcze tańca ognia, w kolorach płomieni. – Ty… ty… i jeszcze ty – powiedział. – Odprawialiście tę straszliwą magię i prowadziliście swoich ludzi prosto w nią. A kto spośród reszty z was nie był tego winny?

– Nie wiedzieliśmy – zaczął usprawiedliwiać się jeden z nich. – Mailsh Heelbare, czy mamy jeszcze czas, aby powstrzymać to, aby to wszystko się nie stało?

– Tak. Czasu jest bardzo mało, ale jeszcze jest. Mamy go, do chwili kiedy Zawsze Taki Sam nie będzie musiał przejść przed czołem Ognia na Niebie. – To powinno nastąpić za jakieś sto pięćdziesiąt godzin. – Jeżeli tak się stanie, wszystko będzie w porządku. Jeżeli Ogień na Niebie przesłoni Zawsze Taki Sam, jesteśmy zgubieni, wszyscy razem, jak tu siedzimy. Musicie wyruszyć pomiędzy waszych ludzi, powiedzieć im, jakie szaleństwo ich opanowało, i rozkazać im aby go zaprzestali. Musicie rozkazać im, aby odłożyli swoją broń i przerwali walki. I musicie im powiedzieć, jak okropna klątwa została nałożona na Terran, w czasach dawno temu, pomimo tego że był to mniejszy grzech, niż oni teraz popełniają.

– Jeżeli powiemy ludziom, że to Mailsh Heelbare nam o tym powiedział, mogą nam nie uwierzyć. Nie wszyscy go przecież znają, a wielu też nie przyjmie słów Terranina, nawet jego.

– Czy ktoś wyjawiłby tajemnicę takiego rodzaju, na temat jego własnych ludzi, gdyby to nie była prawda?

– Lepiej nie mówmy nic o Mailshu Heelbare. Powiemy, że Ci Którzy Odeszli powiedzieli nam o tym w snach.

– Lepiej powiedzmy, że to Wielki Duch zesłał sen ostrzegawczy każdemu z nas – zaproponował inny shoonoo. – Przedtem było już za dużo mówienia o snach od Tych Którzy Odeszli.

– Ale Wielki Duch nigdy przedtem nie zsyłał snów…

– Ale nigdy wcześniej również nie wydarzyło się coś tak poważnego.

Miles wstał i shoonoo natychmiast umilkli.

– Idźcie teraz do waszych pokojów – zaproponował im. – Porozmawiajcie o tym, w jaki sposób najlepiej ostrzec waszych ludzi. – Wskazał ręką na zegar. – W swoich pokojach każdy z was ma oomphel podobny do tego. Kiedy krótsza włócznia przesunie się o trzy miejsca, będę chciał znowu z wami porozmawiać. Potem zostaniecie wysłani latającymi samochodami do swoich ludzi, aby pomówić z nimi.

W milczeniu zjechali windą na dół i poszli korytarzem do biura Milesa na trzecim piętrze. Foxx Travis nucił coś cichutko pod nosem, niemal niesłyszalnie.

Będziesz jaaaadł... cały świaaat... tak sam z sieeebie
Zobaczysz ooom... phel na niebie... jak spadnie na ciebie!

Kiedy weszli do środka, Edith Shaw opadła bezwładnie na krzesło, kompletnie znużona. Foxx Travis podszedł do ekspresu do kawy i włączył go. Miles pstryknął włącznikiem na ekranie komunikatora, a następnie wystukał kombinację sztabu generała Maitha. Kiedy tylko pojawiła się na nim dziewczyna w mundurze, szybko wyciągnęła rękę. Ekran zamigotał i zamiast niej, pojawił się na nim generał Maith.

– Mamy to, panie generale. Kupili naszą historię. Będziemy gotowi, żeby zacząć ich wypuszczać, za jakieś trzy godziny.

Szczupła, zmęczona twarz Maitha nagle się rozjaśniła.

– Czy to znaczy, że oni będą współpracować?

Miles pokręcił przecząco głową.

– Oni sądzą, że ratują świat. Myślą, że to my będziemy współpracować z nimi.

General roześmiał się.

– To nawet jeszcze lepiej! W jaki sposób chce ich pan wysłać w teren?

– Najpierw tych na obszar Bluelake. Dobrze by było gdyby wybrał pan paru żołnierzy P.T.K., w tubylczym przebraniu i z bronią, żeby wyruszyli z nimi. Będą potrzebowali ochrony, zanim zdołają przekonać innych do siebie. Kiedy wszyscy tutejsi już wyruszą w teren, można rozpocząć wysyłanie kolejnych na obszar działania Gonzalesa. – Zastanawiał się przez chwilę. – Chciałbym, żeby zostawił mi pan czterech czy pięciu z nich, do pomocy, kiedy sprowadzi pan kolejnych shoonoo, z innych regionów. Jak pan myśli, czy szybko uda się panu zebrać dla mnie kolejną klasę?

– Za jakieś dwa, albo trzy dni jeżeli wszystko dobrze pójdzie. W tej chwili wioski i plantacje na południu, mamy pod dosyć ścisłą kontrolą. Możemy od razu zacząć ich tam zbierać. Zaraz jak tylko uda nam się ustabilizować sytuację tutaj, będziemy mogli wysłać posiłki również na północ. Środki transportowe dla pana będą gotowe za trzy godziny.

Twarz generała zniknęła z ekranu. Miles odwrócił się of komunikatora. Travis roześmiał się szczęśliwym śmiechem.

– Miles, czy ktoś już ci kiedyś powiedział, że jesteś geniuszem? – spytał. – Ten ostatni strzał, który im dałeś, był po prostu doskonały. Dlaczego nie powiedziałeś nam o tym wcześniej?

– Wcześniej, najzwyczajniej w świecie, o tym nie wiedziałem. Przeszło mi to do głowy, dopiero kiedy zacząłem do niech mówić. Dla mnie bez śmietanki i bez cukru.

– Śmietanka – stwierdziła pozbawionym życia głosem Edith. – Dlaczego pan to zrobił? Dlaczego po prostu nie powiedział pan im prawdy?

Travis poprosił ją, aby precyzyjniej zdefiniowała wykorzystywane przez siebie pojęcia. W odpowiedzi ona zaczęła mówić coś gorzko, o Drwiącym Piłacie[1]. Miles przerwał jej jednak.

---

[1] Nawiązanie do Ewangelii Św. Jana, rozdz.18, w. 8, w którym Piłat w odpowiedzi na słowa Jezusa, że urodził się aby dać świadectwo prawdzie, odpowiada „Cóż to jest prawda?" i wychodzi, nie czekając na odpowiedź. Passus ten, podważający naturę prawdy, stał się elementem szeregu traktatów filozoficznych na temat prawdy i wiary, np. otwiera on rozprawę Francisa Bacona „O prawdzie". Przez wielu filozofów nie jest on jednak wcale traktowany jako drwina, ale raczej jako postawienie istotnego problemu (przyp. tłumacza).

– Pomimo rozważań lorda Bacona, Piłat wcale nie drwił – powiedział. – A potem wyszedł, nie czekając na odpowiedź, ponieważ zdawał sobie sprawę, że czekając na nią, umarłby chyba ze starości. Jakiego rodzaju prawdę, powinienem im według pani przekazać?

– A dlaczego nie to, co już zaczął pan im mówić. Że Beta porusza się po ustalonej orbicie i w żaden sposób nie może zbliżyć się ani odrobinę bliżej do Alfy…

– Od czasów Piłata wykonano sporo pracy nad istotą jego pytania – zauważył Travis. – Mój profesor semantyki w Szkole Oficerskiej, podał początek odpowiedzi. Zdefiniował prawdę jako stwierdzenie, mające praktyczny związek z rzeczywistością, na fizycznych poziomach jej struktury oraz jej obserwacji, a także werbalistycznego uporządkowania abstrakcji rozważanego problemu.

– Tak więc zdefiniował ją jako stwierdzenie – zauważył Miles. – Stwierdzenie istnieje tylko w umyśle osoby która je czyni, oraz w umyśle osoby do której jest ono kierowane. Jeżeli osoba dla której jest ono tworzone, nie jest w stanie go zrozumieć lub zaakceptować, nie stanowi ono wówczas dla niej prawdy.

– Ale kiedy pokazał pan im, że planeta jest okrągła, to wszystko doskonale zrozumieli. Tak samo zrozumieli ideę trójwymiarowego modelu. Dlaczego więc, nie pozwolił im pan spróbować zrozumieć również i tego?

– Tamte sprawy zaakceptowali na poziomie intelektualnym. Ale kiedy powiedziałem im, że nie ma najmniejszej szansy na to, aby Kwannon zbliżyła się choćby odrobinę do Alfy, zbuntowali się emocjonalnie. To nieważne w jak rozstrzygający sposób, wykaże pani jakąś kwestię, jeżeli osoba dla której pani to robi, nie zaakceptuje pani dowodu emocjonalnie. Ona ciągle będzie dla niego fałszem. Nie-prawda.

– Oni w ten Czas Zawsze-Chłodno, zainwestowali cały swój kapitał emocjonalny – dodał Travis. – Nigdy by nie pozwolili, aby Miles zniszczył im tę nadzieję. A więc przesunął ją tylko z tego świata, na drugi. Przekonując ich przy tym, ze w ten sposób zrobią lepszy interes. Widziała pani, jak szybko to podchwycili. A przy okazji Miles nie ma też na sumieniu grzechu, zburzenia dziecięcych marzeń, zdradzając im, że Święty Mikołaj nie istnieje.

– **A**le dlaczego wcisnął im pan tę historyjkę o Matce Oomphel? – upierała się dalej. – Teraz wyjadą stąd i zaczną ją opowiadać innym tubylcom, a ci w nią uwierzą.

– Niech pani pomyśli, czy uwierzyliby mi, gdybym zaczął opowiadać im w jakiś inny sposób, o terrańskiej technologii? Pani współpracownicy robią to już niemal od połowy stulecia. Sama pani widzi, jakie wrażenie wywarło to na tubylcach.

– Ale pan im powiedział… Powiedział im pan, że Terranie nie mają dusz!

– Czy może pani dowieść, że to było kłamstwo? – spytał ją Travis. – Przyjrzyjmy się na przykład pani duszy. Wyciągnąć… duszę! Dusza, do… inspekcji!

Naturalnie. Foxx Travis zdawał się oczekiwać, że dusza jest czymś, co można nosić w kaburze.

– Ale jak oni teraz będą na nas patrzyli. Powiedzą, że jesteśmy po prostu niczym jakieś zwierzęta – Edith niemal załkała.

– A, wyszło szydło z worka – odparł Travis. – Nie będziemy już dłużej dostojnymi Terranami, z czystej dobroci serca niosącymi pomoc biednym, ciemnym Kwannom, hojnie się nią dzielącymi, uginającymi się pod Brzemieniem Terran –– tylko jego nowym modelem, wyjawioną tajemnicą, a nie bronią. Teraz, *to oni* będą czuli żal w stosunku do nas, to oni będą sądzili, że *jesteśmy* istotami niższego rodzaju.

– Ja wcale nie myślę, że tubylcy są istotami niższego rodzaju! – W jej oczach niemal pojawiły się łzy.

– Jeżeli rzeczywiście tak pani nie myśli, to po co pokonała pani taką długą drogę na Kwannon, aby spróbować jeszcze bardziej upodobnić ich do Terran?

– Odwal się już, Foxx. Przestań dręczyć panią tymi pytaniami. – Travis wyglądał na nieco zaskoczonego. Być może nie zdawał sobie sprawy z tego, że ten zwykły szef działu wiadomości, potrafi mówić aż tak zdecydowanym i rozkazującym tonem. – Pamiętasz, to co kiedyś mówił Ramon Gonzales, tam u Sandersa, o tym, że gorsi nienawidzą lepszych tylko z tego powodu, że tamci są lepszymi? Nie możemy się więc dziwić, że Kwannowie czują do nas urazę. Mają do tego uczciwe powody, w końcu wyrządziliśmy im niewybaczalną krzywdę. Przez cały czas musieli oglądać nas, jak robimy rzeczy, których oni nie potrafią zrobić. To oczywiście, że są na nas wściekli. Ale teraz dałem im coś, dzięki czemu mogą poczuć do nas odrobinę wyższości. Kiedy umierają, odchodzą do Miejsca Tych Którzy Odeszli, mają więc na niebie swój oomphel i będą żyli wiecznie w nowych ciałach, a kiedy my umrzemy, to po prostu umrzemy, kropka. Będą więc nas żałowali i uprzejmie będą próbować ukrywać swoją łaskawość dla nas i naszych problemów.

Pokiwał głową i dokończył:

– W dodatku, ponieważ będą mieli w stosunku do nas poczucie wyższości, będą chcieli nam pomóc. Będą dla nas harować w pocie czoła na plantacjach, tak byśmy uzyskali całe mnóstwo biokryształów, a ich shoonoo będą pracować nad odpowiednią dla nas magią, aby pomóc biednym, ciemnym Terranom w wyhodowaniu dusz dla siebie, dzięki którym staniemy się niemal tacy sami jak oni. Oczywiście wykorzystają także każdą szansę na to, aby nas eksploatować i pozyskiwać od nas kolejne oomphel, ale najważniejszą rzeczą będzie pomoc dla biednych Terran. Być może nawet zorganizują Agencję Pomocy Duchowej i Magicznej.

KONIEC